

LEIGH MICHAELS

Zaręczyny na niby



Harlequin®

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hafnburg
Madryt • Mediolan • Paryż • Praga • Sofia • Sydney
Sztokholm • Tokio • Warszawa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Brakowało jej wszystkiego - szaleńczego przepychania się ludzi na chodnikach, hałasu samochodów pędzących po North Michigan Avenue, odległego wycia syren goniących gdzieś wozów.

Powrót do domu, do Chicago, jest najlepszą częścią wszystkich wyjazdów w interesach, pomyślała Debora Ainsley, manewrując swobodnie między płynącymi chodnikiem strumieniami ludzi. Zatrzymała się w końcu przy szklanych drzwiach, prowadzących do Galerii Ainsley, zdjęła z ramienia płócienną torbę i wyciągnęła parę modnych pantofelek na wysokich obcasach. Zastąpiła nimi adidas, w których łatwiej było pokonać odległość dzielącą jej mieszkanie od North Michigan Avenue. Poprawiła chustkę, stanowiącą jedyny kolorowy akcent kremowej sukienki i pochyliła się, by przyjrzeć się niewielkiemu olejnemu obrazowi, opartemu o sztalugi tuż przy drzwiach.

W galerii było cicho i spokojnie. Panująca tu atmosfera zachęcała miłośników sztuki do oglądania, rozważania i medytowania - zupełnie jak w bibliotece, muzeum czy kościele. Półmrok rozświetlały skierowane na obrazy punktowe światła, które miały zachęcać do dokładnego przyjrzenia się - i podziwu.

Galeria Ainsley nie była duża, ale w ciągu trzech lat od otwarcia Deborze udało się zapewnić jej pewne miejsce wśród setek galerii rozsianych w śródmieściu Chicago. Zajmowała się pracami najlepszych współczesnych artystów z całego regionu. Kiedy zgłaszał się klient szukający grafiki Salvadora Dali lub plakatu

z obrazem Moneta, Galeria Ainsley uprzejmie odsyłała go do konkurencji. Ale jeśli ktoś miał ochotę na oryginał, a nie masowo produkowaną kopię, a równocześnie nie stać go było na drogie dzieła sławnych malarzy, Galeria Ainsley była najlepszym miejscem, gdzie mógł kupić coś wartościowego po przystępnej cenie.

Debora nazywała to „sztuką jutra”. Ostatecznie, jak często podkreślała, większość obrazów wiszących w chicagowskim Instytucie Sztuki nie kosztowała milionów. Początkowo te płótna kupowali zwykli ludzie o przeciętnych dochodach, ponieważ im się podobały. Dopiero później osąd znawców sprawił, że nabrały wartości. I niewątpliwie to samo zdarzy się z niejednym z obrazów, które teraz kupowali jej klienci.

Kilku malarzy, prezentowanych jakiś czas temu przez Debore, już osiągnęło krajową sławę. Wciąż wyszukiwała nowych twórców, na których dzieła mogła sobie pozwolić zwykła sekretarka lub młode małżeństwo urządzające swój pierwszy dom. Dlatego spędziła cały tydzień podróżując po Michigan i była tak szczęśliwa z powrotu do domu.

Z ukrytych w ścianach głośników sączyła się cicho klasyczna muzyka, nie zagłuszając dochodzącej z drugiego końca galerii rozmowy Peggy z klientem. Nie zagłuszyła również cichego dzwonka przy drzwiach wejściowych.

Debora odwróciła się z zawodowym, powitalnym uśmiechem, ale na widok przybysza rozpromieniła się. Pospieszyła do siwego mężczyzny stojącego przed olejnym obrazkiem, na który sama wcześniej zwróciła uwagę. Wsunęła mu rękę pod ramię.

- Jest wspaniały, prawda, tatusiu? Peggy miała rację, że go tu umieściła. W ten sposób każdy, kto wejdzie, musi na niego spojrzeć...

William Ainsley skrzywił usta w półuśmiechu.

- Czy kiedykolwiek myślisz o czymś poza sztuką, Deboro?

- Och... No tak, nie widziałam cię chyba od dwóch tygodni. - Spojrzała na niego kokieteryjnie. - Naprawdę mi przykro, że od razu nie powiedziałam, jak bardzo cieszę się na twój widok. Ale to nie moja wina, że od dziesięciu lat nie zmieniłeś się ani trochę.

- Uważaj - powiedział ostrzegawczo. - Chyba trochę się zagalopowałeś.

Debora zachichotała i oparła głowę na jego ramieniu. Jej długie, błyszczące, brązowe włosy rozsypały się na szarej marynarce ojca.

- Masz rację - przyznała. - Ale naprawdę, gdy ktoś jest tak przystojny jak ty, wszyscy go zauważają. Mnie po prostu ścięło z nóg, gdy wszedłeś.

- Bzdury. Ile chcesz za ten obraz, Deboro?

Zerknęła na dyskretną karteczkę, umieszczoną przy ramie.

- Dziewięćset. Ale tobie, tatusiu, mogę dać specjalną cenę.

- I sprzedać mi za tysiąc? - Znów przyjrzał się obrazowi. - W ogóle nie powinienem tu przychodzić. Zbyt dobrze znasz moje słabostki, jeśli chodzi o obrazy.

Zdecydowanie odwrócił się w drugą stronę.

- To ty ciągałeś mnie po muzeach w każdą sobotę - wytknęła mu. - I po galeriach popołudniami, a po wystawach w niedziele.

- Uważam, że powinnaś dawać mi zniżkę - powiedział William Ainsley zręcznym tonem. - Ostatecznie kiedyś i tak odziedziczysz całą moją kolekcję, w ten sposób odzyskując wszystko.

- Za bardzo odległe „kiedyś”, mam nadzieję.

Udał, że nie rozumie.

- I pewnie zarobisz jeszcze więcej, sprzedając wszystko po raz drugi. Ale uważaj - jeśli tak zrobisz, będę straszył w tej cholernej galerii.

- Och, świetnie - zamruczała. - Mój własny, prywatny duch. To będzie cudowny chwyt reklamowy.

- Spojrzała na niego spod długich rzęs.

- Hm... - Dostrzegła błysk w jego oczach i nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Więc co cię tu sprowadza? - spytała. - Rzadko widuję cię w środy rano.

- Myślałem, że może zjedlibyśmy razem kolację w klubie.

- Dzisiaj nie mogę. Bristol wyjeżdża jutro w interesach, więc wieczorem idziemy do „Coq au Vin”.

- Zauważyła, że spochmurniał, i zrobiło jej się go żal. Był taki samotny przez kilka ostatnich lat, od kiedy umarła matka. Debora starała się spędzać z ojcem możliwie dużo czasu, ale przy nawale zajęć i częstych wyjazdach z miasta było to trudne. On z kolei był zbyt delikatny, żeby narzucać się jej, i czasami, kiedy spotkała go odmowa, całymi tygodniami nie ponawiał zaproszenia. - Może pójdziesz z nami? - spytała.

- O, nie. Bristol na pewno będzie wolał być z tobą sam na sam.

- Skądże, nie będzie miał nic przeciwko twemu towarzystwu - roześmiała się. - Bristol jest dorosły, zbyt dojrzały, żeby czuć się zazdrosnym.

- Z tym się zgadzam - mruknął pod nosem tak cicho, że Debora nie była pewna, czy rzeczywiście dobrze usłyszała.

William westchnął.

- Twoja matka pewnie już by mnie kopała w kostkę, żebym był cicho, ale uważam, że muszę ci to powiedzieć. Deboro, chciałbym, żebyś nie spotykała się tak często z Bristolem.

- Myślałam, że go lubisz.

- Szanuję go - poprawił ją.

- Czy to nie to samo? Ostatecznie jest radcą

prawnym fundacji. Zatrudniłeś go, przedstawiłeś mi...

- Przedstawiam ci prawie wszystkich ludzi, pracujących dla fundacji, ale to nie znaczy, że chcę, żebyś się z nimi umawiała na randki. Do diabła, kochanie, on przecież mógłby być twoim ojcem!

- No, nie - powiedziała sucho. - Czternaście lat różnicy to nie dosyć, żeby być moim ojcem!

- W każdym razie zachowuje się jak starzec - mruknął William. - Chyba nie masz zamiaru wyjść za niego, co?

- Lubię jego towarzystwo, tatusiu. Czy możemy na tym poprzestać?

William Ainsley utkwiał wzrok w swoich butach.

- Ja to oczywiście rozumiem. Po twoich doświadczeniach z tym malarzem, solidność Bristola musi wydawać ci się bardzo...

- Czy możemy na tym poprzestać, tatusiu? - powtórzyła Debora cicho, ale z naciskiem.

Spojrzał na nią ze smutkiem.

- Mówisz zupełnie jak twoja matka. Vivien po trafiłaby tym tonem zatrzymać batalion żołnierzy.

Deborze zwilgotniały oczy. Matka zawsze była obecna w jej myślach, a pełna tęsknoty samotność w głosie Williama mogła roztopić lód. Serce ścisnęło jej się.

- Przepraszam, kochanie - powiedział niepewnie.

- To oczywiście twoja sprawa. Ale tak się o ciebie martwię. Chciałbym, żebyś zaznała w życiu tego, co było między twoją matką a mną.

- I to wszystko? - spytała Debora kwaśno. - To jakby żądać gwiazdki z nieba, tatusiu. - Przytuliła się do niego. - A może jutro? - szepnęła. - Postawię ci kolację.

- No to jesteśmy umówieni. - Pocałował ją w policzek i delikatnie uwolnił się z jej objęć. - Powinienem pozwolić ci co nieco popracować.

- Chyba tak. Po mojej tygodniowej nieobecności biurka pewnie nie widać spod papierów.

Tatusiu! - zawołała, gdy kładł rękę na klamce. William odwrócił się, a Debora dodała niewinnym tonem, wskazując na stojący na sztalugach obraz: - Czy mam ci to dostarczyć do domu?

William Ainsley uniósł wysoko brwi.

- Oczywiście - powiedział, jakby sprawa nigdy nie podlegała dyskusji. - A jak myślisz, po co tu przyszedłem? - Puścił do niej oko i wyszedł, zanim zdołała odpowiedzieć.

Pisała właśnie karteczki z podziękowaniami do klientów i artystów, których odwiedziła w Michigan, gdy do biura weszła Peggy i usiadła na stojącym obok krześle.

- Kupił tę akwarelę. Cierpliwość jednak popłaca.

- Chyba ci już mówiłam, że fakt, iż ktoś nic nie kupi podczas pierwszej wizyty, wcale nie oznacza, że nigdy niczego nie kupi.

- Wiem. „Klient, który nie kupuje, nie jest stratą czasu, ale szansą na przyszłość” - wyrecytowała Peggy. - Ale on był tą szansą trzy razy na tydzień przez cały miesiąc. Już myślałam, że przychodzi tylko oglądać moje starcze plamy.

Debora nie podniosła głowy znad adresowanej właśnie zielonej koperty.

- To piegi, nie starcze plamy - poprawiła ją łagodnie.

- Tak, ale on chyba tak nie uważa. Wiesz, jak się ma już czterdzieści pięć lat... - Peggy sięgnęła do szuflady, wyciągnęła lusterko i dokładnie przyjrzała się swojej twarzy. - Jestem tak okropnie przeciętna - powiedziała obojętnie. - Ani niska, ani wysoka. Ani gruba, ani szczupła. Nawet moje włosy nie potrafią się zdecydować, czy chcą być ciemne, czy jasne. To niesprawiedli-

we, że moją jedyną wyraźną cechą są piegi. Powinnam była z nich wyrosnąć, kiedy miałam naście lat.

Zabręczał dzwoneczek przy wejściu, więc odłożyła lusterko i wyszła, by przywitać nowego klienta. Po chwili jeszcze raz zajrzała do biura.

- Zapomniałam ci powiedzieć: twój kuzyn pilnie chce się z tobą spotkać. Chyba nazywa się Riley. Ma głos faceta, który mógłby docenić piegi.

Debora wyjęła następny arkusik papieru listowego.

- No myślę - powiedziała. - Sam ma ich mnóstwo. A głos może być zwodniczy. Zwłaszcza jeśli chodzi o Riley'a.

Zanim zabrała się do przeglądania pozostawionych wiadomości, napisała i przygotowała do wysłania wszystkie listy. Ale sumienie zaczęło ją dręczyć już jakiś czas temu. Nie może przecież zakładać, że Riley wciąż zachowuje się tak samo nieznośnie, jak wtedy, gdy miał kilkanaście lat i zatrwał jej życie ciągłymi psotami. Ostatecznie nie widziała go od dawna. Musi mieć już koło trzydziestki.

- Trzydzieści jeden - mruknęła do siebie pod nosem.

- Jest od ciebie trzy lata starszy, Deboro, a choć nie lubisz się do tego przyznawać, niedługo skończysz dwadzieścia osiem.

W połowie stosu karteczek znalazła niewielki, ściśle zapisany różowy świstek. Przyjrzała się dokładnie i stwierdziła, że był to zapis kilkunastu telefonów od Riley'a z ostatnich trzech dni. Podany był chicagowski numer telefonu. Trochę się zdziwiła, gdy odpowiedziała jej recepcjonistka w hotelu Englin.

Pewnie przyjechał na kilka dni do miasta, żeby odpocząć i zabawić się, przemknęło jej przez głowę. Szuka pewnie kogoś, kto by poszedł z nim do zoo czy coś w tym stylu.

- Stadion Yankee, mówi sędzia liniowy - odezwał się głos w słuchawce.

O mało nie jęknęła głośno. Czy ten człowiek nigdy nie dorośnie?

- Może zadzwonię, jak skończy się mecz - zaproponowała cierpko.

- Debbie, kochanie! - Głos nabrał ciepła. - Cieszę się, że tubylcy w Michigan nic złego ci nie zrobili.

- Cóż sprowadza cię do wielkiego miasta, Riley?

- Badania - odpowiedział natychmiast. - No i skoro tu jestem, pomyślałem sobie, że zaproszę cię na kolację i przekażę wszystkie rodzinne plotki.

- Coś nowego? Czyżby Mary Beth uciekła z listonoszem?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział głosem urażonej niewinności. - Moja szanowna siostra przytyła dziesięć kilo po swoim ostatnim dziecku...

- Jeszcze jednym? Nic nie wiedziałam.

- No, to nie jest właściwie nowe dziecko. Ma już prawie cztery lata. Chodzi mi o to, że listonosz chyba by jej nie zechciał. To przystojny facet.

- Czyżby ostatnio interesowali cię przystojni mężczyźni?

- Ależ skąd! Ja tego nie zauważyłem, to mama powiedziała, że jest przystojny. Więc co z dzisiejszym wieczorem? W sensie kolacji, oczywiście.

- Domyśliłam się - odpowiedziała chłodno. - Nie mogę. Już jestem umówiona.

Nie robił wrażenia urażonego.

- Ach tak? Czy wciąż spotykasz się z tym owłosionym stworem, którego przywiozłaś na pogrzeb wujka Ralpa?

- A po co ci ta informacja? - spytała bardziej szorstko, niż zamierzała, ale Riley nie zwrócił na to uwagi.

- Oczywiście po to, żeby opowiedzieć Mary Beth wszystkie pikantne szczegóły.

- Nawet nie wiedziałam, że byłeś na pogrzebie wujka Ralpa.

- Przyszedłem późno, wyszedłem wcześniej. Ty zresztą też nie zabawiłaś zbyt długo na łonie rodziny.

- Morgan nie... - przerwała. To nie był interes Riley'a.

- Morgan? Cóż za imię! A jutro wieczorem?

- Nie. Jestem...

- ...umówiona na kolację. Zdumiewasz mnie - powiedział z namysłem. - Nie sądziłem, że takiemu stworzeniu chce się wyczesywać owłosienie dwa dni z rzędu...

Debora zaczynała powoli tracić cierpliwość.

- Jeśli skończyłeś, Riley...

- Deb! Debbie, kochanie, nie odkładaj słuchawki. Przepraszam, że wypowiadałem się na temat twego kudłatego przyjaciela. Czy Morgan to naprawdę jego imię, czy też w ten sposób wyraża swój protest wobec świata? Zresztą, wszystko jedno. Więcej tego nie zrobię. Słuchaj, naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

- Plotki rodzinne - mruknęła. - Pewnie zaraz mi powiesz, że ciotka Ida się zakochała!

- Skąd wiesz?

Zaległa cisza, którą w końcu przerwała Debora.

- I nic więcej mi nie powiesz, tak? Trudno, ponieważ dobre maniery nie pozwalają mi być niegrzeczną wobec rodziny...

- Dobre maniery to wspaniała rzecz.

- ...to mogę się z tobą spotkać pojutrze.

- Czyli w piątek? Niestety, w piątek muszę już wyruszać do domu. A może jutro zjesz ze mną śniadanie?

- Cywilizowani ludzie nie jadają śniadań, Riley. No dobrze już, dobrze. Przyznaję, że nie mogę się doczekać, by usłyszeć, co takiego wymyśliłeś o ciotce Idzie.

- Niczego nie wymyśliłem. Dawno już z tego wyrosłem.

- Tak? I naprawdę jesteś sędzią liniowym na stadionie Yankee?

Jeśli Riley chciał ją zaintrygować, to w pełni mu się to udało. Debora nie była w stanie skupić się na wspaniałym jedzeniu w „Coq au Vin”. Gdy kończyli już przepiórkę po normandzku, Bristol powiedział z wymuszoną uprzejmością:

- Wybacz, proszę, jeśli nudzę cię mówiąc o konferencji.

- Co takiego? Ach, nie. Prawie wcale nie słuchałam...

- zakrzuszyła się. - Przepraszam, Bristol. Myślałam o swoim kuzynie.

Bristol Wellington zaczekał, aż kelner napełni jego kieliszek.

- Kuzynie? - spytał pedantycznym tonem. - Sądziłem, że żadne z twoich rodziców nie miało rodzeństwa.

- Och, to nie jest taki bliski kuzyn. On jest... nawet nie wiem kim. Mój pradziadek i jego pradziadek byli braćmi.

- W takim razie jesteście kuzynami w trzeciej linii - oświadczył.

- Dziękuję - powiedziała uprzejmie Debora. - Nigdy nie potrafiłam rozeznaczyć się w tych pokrewieństwach. Przyjechał do miasta i mam z nim zjeść jutro śniadanie.

- Zawsze należy utrzymywać serdeczne stosunki z rodziną - stwierdził Bristol. - Ja na przykład koresponduję z...

- Łatwo ci mówić. Jeśli chodzi o Rileya...

- Rileya?

- Rileya Lassitera - pospieszyła z pomocą Debora.

- On jest z jednej gałęzi rodziny Lassiterów, moja mama była z drugiej. Jego gałąź kontynuuje rodzinne nazwisko, a jej dostała większość rodzinnego majątku.

Zawsze mi się wydawało, że to uczciwy układ. Tak się zdarzyło, że bracia Lassiterowie - ci pradziadkowie - pokłócili się i przodek Riley'a sprzedał swoje udziały mojemu. Za grosze. Wkrótce akcje poszły w górę.

- Więc pewnie on teraz żywi urazę?

- Riley? Nie, to do niego niepodobne.

- To nie jest jakiś element kryminalny czy coś w tym rodzaju, co, Deboro? - spytał Bristol podejrzliwie.

- Z Riley'em nigdy nic nie wiadomo. - Łyknęła wina. - To nawet krępujące, ale nie wiem, czym on się zajmuje. Jego rodzice mieli farmę koło Summerset w południowym Illinois, skąd wywodzą się wszyscy Lassiterowie. Gdy Riley rozpoczął studia prawnicze, umarł jego ojciec. Wiem, że ze studiów nic nie wyszło, ale nie mam pojęcia, co robił, ani co robi teraz.

- Pewnie hoduje świnie - powiedział Bristol.

- Naprawdę, Deboro, czy musimy...

- To wstyd. - Zadumała się. - Mama zawsze orientowała się w tych sprawach. Na pewno знаła wszystkie imiona i daty urodzenia dzieci Mary Beth...

- Ku jej zdumieniu coś ścisnęło ją za gardło.

Bristol westchnął. Nie zapytał, kim jest Mary Beth.

- Gdy byłem dzieckiem, spędzałam tam wiele czasu - ciągnęła Debora. - Sądziłam, że mama wysyła mnie na lato, żeby się mnie pozbyć. Teraz jestem pewna, że chciała, bym utrzymała stosunki z pozostałą częścią rodziny: ciotką Idą, wujkiem Ralphem i rodzicami Riley'a. Właściwie szkoda, że nic z tego nie wyszło - przerwała nagle. - Przepraszam, Bristol. Nie miałam zamiaru zanudzać cię na śmierć.

- Ależ nigdy mnie nie nudzisz, Deboro. Muszę jednak przyznać, że nie rozumiem, dlaczego...

- Dlaczego uparłam się dziś na Riley'a? Chyba dlatego, że to wszystko jest takie dziwne... ten jego

telefon - powiedziała powoli. - Przecież musiał czasami bywać w Chicago, ale nigdy się nie odzywał. A teraz nagle...

„Ciotka Ida się zakochała” - powiedziała, a Riley odparł: „Skąd wiedziałś?”

Nie, pomyślała niespokojnie. Riley nie mógł mówić serio. Nigdy tego nie robił.

Umówili się w holu. Debora, wciąż ziewając, zapłaciła za taksówkę i weszła do hotelu Englin, jednego z najstarszych i najwspanialszych w Chicago. Jej senność znikła nagle, gdy stanęła pod żyrandolem ze srebra i kryształu o wymiarach sporego samochodu.

- Do diabła - mruknęła pod nosem. - Zapomniałam, że tu jest z piętnaście holi wejściowych. Gdzież on może czekać?

- Właśnie tutaj - odezwał się za nią cichy głos. Odwróciła się na pięcie, by stanąć twarzą w twarz z... Rileyem? Czy to ta sama osoba, która była chudym wyrostkiem z rudą czupryną, niezliczoną ilością piegów i zbyt wielkimi uszami?

Uśmiechnął się i Debora nieco się odprężyła. Tak, to na pewno Riley. Riley o błyszczących piwnych oczach i psotnym uśmiechu. Ale co się stało z całą resztą?

Włosy wciąż miały rudawy połysk, ale teraz były kasztanowe. Piegi zniknęły, a chude ciało o zbyt długich kończynach stało się silne i sprawne. Riley miał na sobie elegancką koszulę w paski i ciemne spodnie. Bez krawata, bez marynarki - ale czego innego mogła się po nim spodziewać?

- W końcu dorosteś do swoich uszu - powiedziała.

Pocałował ją lekko w policzek.

- I ty też świetnie wyglądasz, Debbie, kochanie - zamruczał. - Znacznie lepiej, niż na pogrzebie Ralpa. Wtedy byłaś tak blada, że przez moment zastanawiałem się, kto tu jest trupem.

Debora westchnęła.

- Mogłam się spodziewać, że nie dasz mi spokoju.
- To ty podniosłaś sprawę uszu.
- Zapamiętam, że to drażliwy temat. - Uniosła dłoń i pociągnęła go lekko za ucho. - Cieszę się, że cię widzę, Riley.

Wziął ją pod rękę i poprowadził do sali śniadaniowej, gdzie uśmiechnięty kelner wskazał stolik i nalał kawy.

- Wiesz, nie musiałeś wymyślać bajek o ciotce Idzie, żeby skłonić mnie do zjedzenia z tobą śniadania
- powiedziała Debora. - Już nie mam ci za złe, że jako smarkacz byłeś nieznośny.

Oczy mu błysnęły.

- Pamiętasz ten dzień, kiedy robiłaś przyjęcie dla lalek, a ja wsadziłem żabę do dzbanka na herbatę?

- Czy pamiętam?! Gdy podniosłam przykrywkę, a ona na mnie wyskoczyła...

- Nigdy więcej nie słyszałem takiego wrzasku.

Debora jęknęła.

- I naprawdę mi to wszystko wybaczyłaś? - Robił wrażenie skupionego i poważnego, ale była pewna, że szybko mu to przejdzie.

- Jasne. Poza tym - dodała łagodnie - teraz nie mógłbyś włożyć mi żaby do filiżanki. Ostatecznie jesteśmy w hotelu Englin.

- Naprawdę myślisz, że to by mnie powstrzymało?
- spytał bardzo cicho.

Debora zajrzała do filiżanki z nagłym przestraszeniem.

- Nie, Debbie, już z tego wyrosłem - roześmiał się.
- Chyba muszę uwierzyć ci na słowo. A jak się czuje twoja mama?

- Wspaniale. Wiesz, wyszła znowu za męża. A może nie wiesz?

Debora zmarszczyła czoło.

- Tak, chyba ojciec mi mówił.

- Razem ze swoim nowym mężem zmienili farmę w gigantyczny warzywnik.

- Czy to znaczy, że ty nie pracujesz na farmie? - Kelner przyniósł śniadanie. Przyjrzała się zamówionemu przez Riley'a omletowi wielkości półmiska. - Ktoś powinien opowiedzieć ci o cholesterolu - mruknęła, przełamując grahamkę.

- Debbie, kochanie, wiem wszystko o cholesterolu. Prowadzę teraz restaurację.

Słowa były pogodne, ale wyczuła w nich... co? Niechęć? Żal? Pewien wstyd, że obiecujący student prawa upadł tak nisko?

- Och, Riley... Tak mi przykro! - powiedziała spontanicznie i ugryzła się w język. Przecież on nie potrzebuje współczucia. W ten sposób może się tylko poczuć jeszcze gorzej. - Ja... nie powinnam była tego mówić - mruknęła.

- Ko cóż, me możemy -wszyscy ganiać po kraju, by odkrywać nowe talenty - powiedział pojednawczym tonem. - Ja na przykład nie rozpoznałbym malarza, nawet gdybym się o niego potknął. Gdy zobaczyłem to brodate stworzenie, które przyciągnęłaś na pogrzeb Ralpa, pomyślałem, że to na pewno jakiś artysta. Ale równie dobrze mógł być stróżem w szpitalu dla czubków.

- Był artystą - potwierdziła niechętnie.

- Był? Czy to znaczy, że przestał, czy też że nie stanowi już części twego życia?

Debra straciła panowanie nad sobą.

- Wujek Ralph umarł trzy lata temu, Riley. Nie możesz wiedzieć, czy od tego czasu nie spałam z połową facetów wymienionych w chicagowskiej książce telefonicznej. Co cię to obchodzi, czy spotykam się z Morganem, czy nie?

- Ależ nic - powiedział uprzejmie. - Ale jeśli chciałabyś porozmawiać o tej dewiacji seksualnej, Deb...

Przygryzła wargę, wiedząc, że znowu dała mu się podpuścić i zareagowała zgodnie z jego oczekiwaniami.

- Przepraszam - powiedział szybko. - Naprawdę nie sędzę, byś była nimfomanką, ale nie mogłem się oprzeć chęci zobaczenia twojego wyrazu twarzy. Powinnaś panować nad upodobaniem do pompatycznych stwierdzeń.

- Jedyna rzecz, nad którą powinnam zapanować - powiedziała Debora z wysiłkiem - to ilość czasu, jaką spędzam w twoim towarzystwie. A to jest dość łatwe.

Pokręcił głową.

- Nawet nie doszliśmy jeszcze do problemu ciotki Idy, Deb.

- I jej domniemanego kochanka? Daj spokój, Riley. Ida ma co najmniej osiemdziesiątkę i nigdy nie była mężatką.

- Częściowo właśnie dlatego mnie to martwi - jego głos naprawdę brzmiał poważnie. - Musiała wpaść po uszy, bo inaczej nie zachowywałaby się tak idiotycznie.

Debora wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę.

- Chcesz powiedzieć, że sprawiła sobie jakiegoś żigolaka?! Nie spodziewasz się chyba, że w to uwierzę?!

- On nie jest właściwie żigolakiem. Zachowuje się raczej jak oswojony pyton. Tak naprawdę jest przedsiębiorcą, który chce ożywić Paradise Valley.

- Ten podupadły kurort? Przecież od dziesięciu lat nic się tam nie dzieje, budynki rozpadają się! Nie wierzę, żeby Ida poświęciła temu facetowi chociaż chwilę, nie mówiąc już o pieniądzach... - Głos jej zadrżał. - Prawda?

- Ida tkwi w tym aż po garbek jej klasycznego nosa - powiedział Riley. - Przede wszystkim, jej czarujący doradca do spraw inwestycji mieszka obecnie w Lassiter House. A ona poważnie ma zamiar zainwestować w to szalbierstwo nie tylko własne pieniądze, ale również fundusz powierniczy.

- Fundusz? - powtórzyła Debora słabym głosem.
- Fundusz - potwierdził Riley. - Nienaruszalny fundusz, utworzony przez twego pradziadka, by zachować aktywa dla potomków - czyli, w tym przypadku, dla ciebie - aż po którąś tam generację. Ten właśnie fundusz.
- Ale jak...
- Widzisz, pradziadek nie dostrzegł jednego słabego punktu. Opiekę nad pieniędzmi powierzył wszystkim swoim dzieciom - co miało zrównoważyć układ sił. Ale po śmierci Ralpa Ida została jedynym kuratorem funduszu. - Odstawił filiżankę. - I teraz, Debbie, kochanie, Ida może zrobić z forszą, co tylko zechce.

ROZDZIAŁ DRUGI

- I nie mów mi, że to tylko pieniądze - kontynuował Riley. - Nie znam człowieka, który byłby tak szlachetny, by machnąć ręką na odsetki od paru milionów dolarów.

- Tatusz to robi co roku - powiedziała myśląc o czymś innym.

- To co innego. To nie jego pieniądze. Należą do fundacji, a wszystko idzie na szlachetne cele. Natomiast jeśli mają one umożliwić naciągaczowi życie w stylu, do jakiego chętnie by się przyzwyczaił...

- Czy jesteś całkiem pewien, że to szalbierstwo?

- Paradise Valley?! - Riley niemal krzyknął. - W środku jest nie jezioro, ale basen przemysłowy. I utopiono tam już tyle forsy...

- To brzmi tak, jakbyś sam stracił niemało.

- Ja nie, ale za pierwszym razem wpakował się w to mój ojciec. Dopiero w zeszłym roku mama spłaciła pożyczkę, którą zaciągnął na hipotekę w tym właśnie celu.

- Rozumiem.

- Nie, chyba *nie* rozumiesz. Zapominam, że *nie* byłeś w Summerset od lat, więc nie wiesz, co się tam dzieje. Słuchaj, Paradise Valley nigdy nie będzie dochodowym wakacyjnym kurortem. To nie jest pępek świata rozrywki. By przyciągnąć taki tłum, żeby to wszystko się opłacało, trzeba by tam zainwestować fantastyczne pieniądze w centrum rozrywkowe, narciostady, trasy dla sani mechanicznych, korty tenisowe, pola golfowe i plaże, nie mówiąc już o pensjonatach.

Szybko osiąga się punkt, w którym zyski zaczynają maleć - im więcej wydajesz pieniędzy, tym więcej ludzi musisz pomieścić na ograniczonej przestrzeni, żeby się zwróciły wydatki. Tego naprawdę nie da się zrobić.

- Więc jest to po prostu zła inwestycja.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- To łagodne sformułowanie - powiedział w końcu.

- W gruncie rzeczy nie ma znaczenia, czy to szalbierstwo, czy zła inwestycja - pieniądze i tak przepadną. Ale tak się składa, że spotkałem śliskiego węża, który sprzedaje ten pomysł, i jestem pewien, że to więcej niż zła inwestycja.

- No i co byś chciał, żebyśmy zrobiła? - spytała chłodno. - A poza tym, co cię to właściwie obchodzi? Dla ciebie nie ma to żadnego znaczenia, że Ida chce wyrzucić w błoto rodzinne pieniądze. Jestem wzruszona twoją troską, ale...

Riley westchnął.

- No dobrze, przyznaję, ja też mam w tym swój interes. Paradise Valley graniczy z farmą mamy. Śliski wąż usiłuje odkupić od niej ziemię.

- Za pieniądze Idy? Nie rozumiem...

- W ogóle bez pieniędzy. Chce jej za to dać udziały w firmie. Śliczne małe certyfikaty ze złotym brzegiem, zapisane obietnicami.

- Czy Anna Maria nie może po prostu odmówić?

- Oczywiście, że może. Ale on próbuje kupić ziemię nie tylko od niej, a inni ludzie nie są, niestety, tak dalekowzroczni jak moja matka.

- Po co mu tyle ziemi? Zawsze mi się wydawało, że Paradise Valley to ogromne przedsięwzięcie.

- I tak jest. Ale on chce, żeby było jeszcze większe - z prywatnym lotniskiem, terenem do skoków spadochronowych i trasami narciarskimi.

- Myślałam, że żartujesz z tymi trasami. Przecież na waszej farmie nie ma wzgórz.

- To je zbuduje. A przynajmniej tak mówi.
- Ma wielkie plany.
- I to, jak mi się wydaje, przekonało Idę. To taki wspaniały pomysł, a dla Summerset byłoby znakomicie, gdyby się urzeczywistnił. To niezwykła okazja dla mieszkańców. Ostatecznie - w głosie Rileya zabrzmiała ironia - już i tak ma większość potrzebnych pieniędzy od jakiegoś anonimowego inwestora ze Wschodniego Wybrzeża. Tak przynajmniej twierdzi. Po prostu daje ludziom z Summerset szansę, żeby korzystnie zainwestowali swoje oszczędności.
- Jeśli głośno wygłaszasz swoje zdanie, pewnie traktują cię jak zdrajcę.
- Łagodnie to ujęłaś. - Wzniósł oczy w górę. - Poza tym nie mogę zbyt ostro mówić, co myślę.
- Dlaczego? Czy twoja restauracja nie funkcjonuje dobrze?
- Bardzo dobrze. Ale plany rozbudowy przewidują spory zespół restauracji obsługujących przyjezdnych, więc...
- Więc zwolennicy kurortu uważają, że protestujesz, bo nie chcesz konkurencji? - Debora pokiwała głową. - Teraz rozumiem. Nic dziwnego, że chcesz, bym coś z tym zrobiła. Mnie ostatecznie nie wywiozą z miasta na taczkach.
- No właśnie. - Pogłaskał ją po dłoni. - Gdybyś mogła porozmawiać z Idą i przerwać tę historię...
- To nic nie da. No, może udałoby mi się uratować fundusz powierniczy, ale jeśli ten człowiek ma już pieniądze obiecane na budowę...
- Uważam, że ci wielcy inwestorzy pozostają anonimowi, bo tak naprawdę nie istnieją. Myślę, że on chce zebrać w Summerset tyle forsy, ile się da, a potem zniknąć.
- Po co w takim razie kupuje ziemię?
- By zwiększyć swoje możliwości zaciągania pozy-

czek. W ten sposób sprawia wrażenie, że jest solidną firmą. Nic go to nie kosztuje, a lista inwestorów uspokaja tych, którzy się jeszcze wahają, czy powierzyć mu oszczędności całego życia. W gruncie rzeczy, gdyby Ida wycofała swoje poparcie, cały projekt zawaliłby się jak domek z kart.

Debora z namysłem przygryzała dolną wargę.

- No cóż, chyba warto spróbować.

- Świetnie. Przyjedź do Summerset na dwa tygodnie i sama zobacz, co się dzieje. Porozmawiasz z nią, poznasz węża. Zresztą tego nie unikniesz, bo zamieszkał u Idy.

- Riley, myśl rozsądnie. Nie widziałam Idy od trzech lat, a nawet wtedy trzeba było pogrzebu, żeby mnie ściągnąć do Summerset. Nie mogę teraz pojawić się nagle, jak gdyby nigdy nic. Ona nie jest głupia. Domyśli się, po co przyjechałam. Nie wyciągnę z niej ani słowa.

- To proste. Szukasz nowych talentów.

- Czy w najbliższy weekend w Summerset odbywa się jakaś wystawa sztuki?

- Nic nie słyszałem, ale...

- No więc bądź poważny. Po raz pierwszy, od kiedy rozpoczęłam pracę, przyjeżdżam tak sobie do Summerset, by szukać talentów? I tylko przypadkiem zaraz po twoim powrocie z Chicago, tak? - Pokiwała głową na widok jego zaskoczonej miny. - Przecież dosłownie każdy w mieście wie, gdzie jesteś.

- To jest problem - zgodził się.

- Pewnie mogłabym pojawić się przy drzwiach i wrzasnąć „niespodzianka!”, ale chyba trzeba wymyślić jakąś inną historyjkę. - Spojrzała na zegarek. - Wielkie nieba, muszę gonić do pracy! Mam mnóstwo ważnych rzeczy do zrobienia. Skończymy tę rozmowę przy kolacji dziś wieczór.

- Myślałem, że jesteś umówiona.

- Jestem, z moim ojcem. Może on wymyśli, jak z tego wybrnąć.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry...

Ale jej już nie było. Riley westchnął i sięgnął po rachunek.

- Mnóstwo ważnych rzeczy - mruknął pod nosem.

- A to nie jest ważne?

- Wciąż nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł - powiedział Riley z dużego pokoju w mieszkaniu Debory, usiłując wyciągnąć korek z butelki białego wina.

- Nie słyszę cię - zawołała z kuchni. - Nie mogę teraz zostawić mojego sosu bearnaise.

- Ida i twój ojciec nigdy się nie zgadzali - podniósł głos. - Jej zdaniem nie był dość dobry dla Vivien.

- To o to chodziło? Zastanawiałam się, dlaczego zawsze był bardzo zajęty, kiedy miałam odwiedzić ciotkę Idę.

- Uważała także, że jest oportunistą i łowcą posagów.

- Tata? Chyba żartujesz.

- Nie przyjęłaby jego rad w sprawach finansowych.

Debora zapomniała na chwilę o sosie i weszła do pokoju, patrząc na niego ze zdumieniem.

- A naprawdę uważasz, że przyjmie moje?

- Niekoniecznie. Ale może będzie ostrożniejsza i upewni się, że jakieś pieniądze dla ciebie zostaną. Gdyby zwrócił się do niej sam William, to pewnie wydałaby wszystko z czystej złośliwości. Chodzi mi o to, że jeśli wciągniesz w to ojca, może ulec pokusie zadzwonienia do niej i wyrażenia własnej opinii.

- A to sprawi, że ona postąpi dokładnie na odwrót?

- spytała, z namysłem oblizując łyżkę.

- Tak uważam.

- Chyba nie doceniasz mego taty. Od kiedy zaczął

pracować w fundacji, stał się urodzonym dyplomata.

- Machnęła ręką w stronę drzwi, bo właśnie odezwał się dzwonek. - Zresztą już przyszedł, więc nie mogę teraz odwołać zaproszenia. Mam lepkie palce... możesz go wpuścić?

Wycofała się do kuchni, gdzie sos bearnaise właśnie zaczął się warzyć. W chwilę później William dołączył do niej z kieliszkiem kseresu w dłoni.

- Gotujesz, Deboro?

- Obiecałam ci kolację. Ale nie martw się, większość jedzenia pochodzi z delikatesów.

- Zdjęłaś mi ciężar z serca. Już myślałem, że chcesz zrobić wrażenie na Rileyu. A co on tu robi?

- Czy to ma być podchwytliwe pytanie? - zastanowiła się.

- Nie, naprawdę ucieszyłem się na jego widok. Tyle tylko, że gdy miałaś piętnaście lat, powiedziałaś, że *nigdy więcej nie chcesz go widzieć*.

- Tak, pamiętam. To było tego lata, gdy zakochałam się w ratowniku.

Riley wręczył jej kieliszek kseresu.

- Powinnaś go teraz zobaczyć. Byłabyś mi wdzięczna, że wtedy przerwałem ten romans.

- Nie przypisuj sobie wszystkich zasług. Chodziło ci tylko o to, żeby mnie zawstydzić.

Riley roześmiał się.

- Ale musisz przyznać, że działałem skutecznie. A jaki był mój cel - to nie ma znaczenia.

- Nie tak wyobrażam sobie spotkania rodzinne

- powiedział William.

- To jeszcze nie koniec - ostrzegła go Debora.

- Wstawię kurczaka do piekarnika i porozmawiamy.

Przez całą kolację William słuchał w całkowitym milczeniu. Nie dali mu dojść do słowa, opowiadali całą historię, przeplatając ją wzajemnymi uszczypliwościami. W końcu, gdy Debora wyniosła puste

talerze i postawiła na stole owoce i sery, William powiedział:

- Martwi mnie to.
- Więc ona rzeczywiście może to zrobić? - spytała Debora. - Nie ma żadnych zabezpieczeń?
- Już nie. Od śmierci Ralpa Ida jest szefem.
- Mówiłem ci - powiedział Riley. - Ale ty mi nigdy nie wierzysz.
- A czemu miałabym wierzyć? - mruknęła. - To ty mi kiedyś powiedziałeś, że jeśli kobieta połknie w całości krewetkę, wyrośnie w niej dziecko.
- Odpowiadałem na twoje pytanie - przypomniał.
- Ja na pewno nie zacząłem sam mówić o tym, skąd się biorą dzieci.
- Wciąż nie lubię krewetek. Dziecięce uprzedzenia mogą być bardzo trwałe.

William nie zwracał uwagi na ich kłótnię.

- Ale Ida dotychczas słuchała rad swego radcy prawnego i bankiera.

- A teraz słucha swego doradcy do spraw inwestycji.
- Riley wzruszył ramionami. - Nie dostrzega różnicy. I nie dostrzeże, aż będzie za późno, a pieniądze Lassiterów znajdą się już w Kostaryce, czy gdzie tam teraz wyjeżdżają oszuści.

Debora wpatrywała się w swój kieliszek, nie słuchając uważnie. Po raz pierwszy zastanowiła się nad konsekwencjami postępowania Idy, jeśli Riley ma rację. Dochody od funduszu rodzinnego nie były tak duże, jak przypuszczał, ale stałe. A choć galeria funkcjonowała bardzo dobrze, koszty lokalu na Michigan Avenue były wysokie, a wszystkie zyski szły na powiększenie oferty. Gdyby miała z dochodów galerii opłacać także swoje wydatki na życie i mieszkanie, byłaby w kłopotach.

- Szkoda, że nie pamiętam szczegółów - mrucał William. - Mam gdzieś kopię dokumentu założyciel-

skiego funduszu, ale, szczerze mówiąc, zostawiałem te sprawy prawnikom. Wolałem to, niż rozmawiać z Idą. Dochody były wystarczające, więc nie próbowaliśmy wykorzystywać możliwości naruszania kapitału.

- Można to zrobić? - zapytał ze zdumieniem Riley.

- A więc mamy rozwiązanie. Trzeba przekonać Idę, żeby przekazała pieniądze na jakiś cel, zanim uda jej się wszystko zmarnować.

- To nie takie łatwe, niestety - westchnął William.

- Warunki uzyskania gotówki są bardzo trudne do spełnienia. Stary Jacob za wszelką cenę chciał zabezpieczyć to, co zgromadził. Pamiętam tylko jedno: Vivien dostała sporą sumę, gdyśmy się pobrali.

- Posag? - spytał Riley. - To ma sens. Zawsze uważałem, że to cywilizowany zwyczaj.

- Nie całkiem posag. Tylko pokrycie kosztów ślubu. Musieliśmy przedstawiać rachunki, żeby dostać gotówkę. Najwyraźniej stary Jacob chciał, żeby dziewczęta z rodziny wychodziły za mąż w wielkim stylu.

- W jego czasach małżeństwo było dla kobiety jedynym zawodem - zauważyła Debora.

- O ile pamiętam, on nawet nie używał słowa małżeństwo, tylko „związek dynastyczny”.

- Idźmy dalej - powiedziała ponuro Debora. - Ta droga prowadzi donikąd.

- Tak? - spytał Riley. - Nie planujesz wkrótce wspaniałego ślubu? Choć nie przypuszczam, by twój kudłaty przyjaciel posunął się do...

- Kudłaty przyjaciel? - zdziwił się William.

- Chodzi mu o Morgana - wyjaśniła Debora.

- Riley nie jest na bieżąco. Czy ktoś chce jeszcze wina? Riley podsunął swój kieliszek.

- Mogłabyś chyba porozmawiać z bankierem i radcą prawnym Idy - powiedział bez przekonania. - Ja sam nie mogę wpaść do nich i zadawać pytań.

- Byłoby to jakieś źródło informacji - stwierdził William. - Ale jestem pewien, że nic nie mogą zrobić.

- Pewnie są tak samo sfrustrowani jak my - przytaknęła Debora. - Chciałabym przypomnieć, że wciąż nie mam rozsądnego wytłumaczenia, dlaczego przyjechałam do Summerset i zadaję pytania. Swoją drogą... Czy Ida nie ma przypadkiem sklerozy?

- Chciałbym być tak sprawny mając osiemdziesiątkę - prychnął Riley. - Dwa razy w tygodniu gra w brydża, codziennie chodzi na długie spacery i wciąż jest przewodniczącą komitetu budowy nowego szpitala.

- Poszukam kopii dokumentów funduszu, gdy tylko wrócę do domu - powiedział William. - Ida nie może żyć wiecznie. Jacob musiał to przewidzieć.

Riley skrzywił się z niesmakiem.

- Jeśli natychmiast czegoś nie zrobimy, to fakt, czy Ida jest wieczna, czy nie, nie będzie miał znaczenia.

- Szkoda, że wszyscy jesteśmy takimi praworządnyimi obywatelami - mruknęła Debora. - Gdyby nie to, moglibyśmy zaaranżować drobny wypadek podczas jednego z jej długich spacerów.

- Dziękuję - powiedział uprzejmie Riley.

- Nie mam pojęcia, o co ci tym razem chodzi.

- Debora spojrzała na niego podejrzliwie.

- Jestem wzruszony, że zaliczyłaś mnie do grona praworządnych obywateli. Zachowam w pamięci twą łaskę. Chyba że mnie miałaś na myśli, mówiąc o zaaranżowaniu drobnego wypadku?

Zignorowała go i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Ależ mnie wcale nie chodziło o coś takiego

- powiedział William urażonym tonem. - Nie chciał bym nikogo zranić. Często nie zgadzaliśmy się z Idą, ale zawsze okazywałem jej szacunek jako ciotce mojej żony.

- Jestem tego pewien - powiedział Riley uspokajająco.

- I ona także mnie szanowała, przynajmniej ze względu na Vivien.

Debora poszła do kuchni. Więc sprawy między ojcem a ciotką Idą naprawdę nie układały się dobrze, skoro tolerowała go tylko ze względu na Vivien.

Nagle coś jej przyszło do głowy. „Ze względu na Vivien”...

Postawiła naczynia na blacie i wróciła do pokoju.

- Mam! - powiedziała.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią z nadzieją.

- Jadę do Summerset - oświadczyła.

- Co do tego nie było wątpliwości.

- Zamknij się, Riley, i słuchaj. Nie pojedę, by zobaczyć się z Idą, a w każdym razie nie przede wszystkim. Pojadę, żeby przedstawić mojego przyszłego męża i porozmawiać z nią o sfinansowaniu z funduszu mojego ślubu.

William zmarszczył brwi.

- To znakomite rozwiązanie, nie rozumiecie? W ten sposób będzie musiała odpowiedzieć na wszystkie moje pytania.

- Świetny pomysł! - wykrzyknął Riley z entuzjazmem. - Debbie, kochanie, wyrośnie z ciebie wspaniały konspirator!

- Deboro - powiedział William ostrzegawczo. - Chyba tego nie przemyślałaś. Nie sądzę, żebyś ty i Bristol...

- Bristol wyjechał - przypomniała mu.

- Bristol? - spytał Riley. - A któż to jest Bristol? Zresztą wszystko jedno. Czy można mu zaufać?

- Nie będziemy musieli. Nie będę go w to mieszać.

- Więc kto...

Spojrzała wyczekująco na Rileya.

- Och, Deboro - zaczął William. - Kochanie...

- Jeśli myślisz o tym, o kim myślę, że myślisz... - powiedział Riley wolno.

- To szaleństwo - przerwał William. - Nie możesz udawać, że zaręczyłaś się z Rileyem.

- Czemu nie? Czy masz już narzeczoną, Riley?

- Nie, ale...

- Więc nie zrobi ci to różnicy, prawda?

- Ale ja nie chcę żadnej narzeczonej!

- Wierz mi, nie będziesz jej miał długo. To tylko doraźne rozwiązanie. Natchnęła mnie twoja uwaga o związkach dynastycznych, tatusiu. Połączenie gałęzi rozdzielonej rodziny, przywrócenie rodzinnej fortuny, nie mówiąc już o zachowaniu nazwiska dla przyszłych pokoleń. Ciotce to się spodoba.

- Ależ, Deboro... - zaprotestował William słabym głosem.

- To świetny pomysł, tatusiu. W ten sposób i Riley do czegoś się przyda. Już i tak tkwi w tym po... - chciała powiedzieć „po uszy”, ale ugryzła się w język. - Po szyję. To nawet wyjaśnia jego przyjazd do Chicago!

- Przyjechałem, bo stęskniłem się za ukochaną?

- No właśnie. - Debora pomyślała, że głos Rileya brzmiał, jakby dusił go krawat. No cóż, trudno. Musi się szybko przyzwyczać do tej sytuacji.

A poza tym, uśmiechnęła się w duchu, to wspaniały kawał, zrobiony samemu Rileyowi. W ten sposób odpłaca mu się za wszystkie dowcipy w minionych latach...

Początkowo sądziła, że to ruch na chicagowskich ulicach wymaga od Rileya skupienia, ale gdy już wyjechali z miasta i rozpoczęli męczącą podróż przez Illinois, wciąż zachowywał milczenie, wpatrzony w drogę.

- Muszę przyznać, że spodziewałam się większego entuzjazmu mego narzeczonego, szczególnie w dzień po ogłoszeniu zaręczyn.

- Jestem pełen entuzjazmu, Debbie. To cudowny dzień. Ale po raz pierwszy prowadzę jaguara.

W porządku, pomyślała. Sama się o to prosiłaś, Deboro!

- Masz rację, że nie możemy wygadać się przed nikim w Summerset, ale będziemy musieli uważać na nasze zachowanie. Inaczej nikt nam nie uwierzy.

- Że naprawdę jesteście zakochani? No myślę!

- Przestań się czepiać, Riley. Przede wszystkim musimy kontrolować ten zwyczaj ciągłego dokuczania sobie nawzajem.

- Nie! - Zmarszczył brwi. - Myślę, że powinniśmy się zachowywać normalnie, tylko od czasu do czasu rzucać sobie tęskne spojrzenia.

- W nadziei, że wszyscy będą myśleć, iż w ten sposób skrywamy przed światem głębię naszych uczuć?

- Nie bądź sarkastyczna. Właśnie to sobie pomyślałam. *I tak* nie udałoby się nam żyć w spokoju. Gdybyśmy spróbowali, natychmiast wszystko by się wydało.

- Chyba masz rację. Zresztą nie widzę cię w roli Romea.

- Boże broń! „Co za blask strzelił tam z okna? Ono jest wschodem, a Debbie jest słońcem...”^{*} Daj spokój. Zaraz wybuchnąłbym śmiechem. Ale tęskne spojrzenia mogę rzucać - dodał z gorliwością. - Po prostu będę patrzył na ciebie, a myślał o befsztyku z polędwicy z frytkami.

- Dzięki - odpowiedziała oschle. - Jeśli zobaczę, że masz kłopoty, szepnę: „krem czekoladowy”.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony. Może to Wypróbujemy?

- Co? Tęskne spojrzenia? Prowadzisz samochód.

- Mogę zjechać z szosy. Przed nami jest postój dla

^{*} W. Szekspir, *Tragedie*, t. II, *Romeo i Julia*, przeł. •I. Raszkowski, Warszawa 1974.

ciężarówek, a na postojach dla ciężarówek na ogół sprzedają pyszne ciasto.

- Ach, tak, wiem. Czy nigdy nie wyrosłeś z potrzeby jedzenia co trzy godziny?

- Nie. Pewnie dlatego ta szansa prowadzenia restauracji tak mi się spodobała. A swoją drogą, ten sos wczoraj wieczorem był... - Oderwał jedną rękę od kierownicy i ucałował czubki palców parodiując francuskiego szefa kuchni. - Jak go nazwałaś?

- Bearnaise. I był zwarzony, Riley.

- Ach, tak? To pewnie dlatego go nie rozpoznałem - powiedział niefrasobliwie. - Dużo go używamy w mojej restauracji.

- Czy ta twoja restauracja ma jakąś nazwę?

- Tak. Ale miejscowi na ogół mówią „U Rileya”.

- To typowe dla Summerset - powiedziała ponuro.

- Zwariuję po tygodniu.

- Tygodniu? Sądziłem, że zostaniesz dwa tygodnie.

- Nie mogę zostać tak długo. Poza tym ciotka Ida nabierze podejrzeń, jeśli opuszczę galerię na dwa tygodnie.

- Mimo że spędzasz czas z miłością twego życia?

- Jego głos zabrzmiał tragicznie. Zignorowała go.

- Poza tym Bristol wraca za dziesięć dni.

- Czy mieszkacie razem?

- Oczywiście, że nie! Tylko...

- Wiem. Tylko nie chcesz mu tego wszystkiego tłumaczyć. Może powinnaś opowiedzieć mi o Bristolu.

- Daj spokój, Riley, o mężczyźnie, z którym się spotykam?

- Mężczyźnie, z którym się spotykałaś - poprawił ją. - Pamiętasz? Teraz zaręczyłaś się ze mną.

- Tak, chyba powinnam zacząć odgrywać rolę narzeczonej - jęknęła. - Nazywa się R. Bristol Wellington i jest radcą prawnym...

- R. Bristol który? Ma takie nazwisko, że powinien tam być dynastyczny numer.

- Jest - przyznała niechętnie. - Piąty.

- Ach tak? A jego przodkowie zapewne przybyli do Ameryki na statku „Mayflower”?

- Nie, uważa tamtych za plebs. Swoją drogą, czy Wiedziałaś, że ty i ja jesteśmy kuzynami w trzeciej linii? Bristol mi to wyliczył. Świetnie się zna na rodzinnych powiązaniach.

- Rozumiem. Nic dziwnego, że' nie chcesz mu relacjonować tej całej historii.

- To nie o to chodzi - broniła się Debora. - Zresztą powiedziałam mu, że jadę do Summerset zobaczyć się ^ ciotką, bo spotkanie z tobą obudziło we mnie rodzinne uczucia i...

Riley uniósł brwi tak wysoko, że chętnie walnęłyby go w łeb.

- Zapewne podobał mu się ten akcencik - mruknął.

- Dobrze, że nie wdawałaś się w szczegóły. Mam wrażenie, że jest pozbawiony poczucia humoru.

- Nic takiego nie mówiłam. Doskonale by zrozumiał, aleja... - urwała. I tak mu nie wytłumaczy, że Bristol jest poważny i solidny jak skała, i że jej to Właśnie odpowiada.

- A co takiego zaszło między tobą a tym malarzem, że zechciałaś osiąść w wygodnym nie-stosunku z Bristollem?

- Nie odczepisz się, co? - jęknęła. - No dobrze, powiem ci. Morgan lubił życie bez ograniczeń. Był jak facet na przyjęciu, który próbuje każdej sałatki, bo boi się, że przegapi coś dobrego.

- Chyba rozumiem. Chodzi o to, że ty chciałaś coś stałego, a on nie?

- Nie tylko - odrzekła oschłym tonem. - On Uważał, że każda kobieta to inna sałatka i chciał je Wszystkie wypróbować.

Riley pokiwał głową w zamyśleniu.

- To wyjaśnia Bristola Piątego. Nic dziwnego, że ci tak z nim dobrze.

- A co z tobą, Riley? Są jakieś kobiety w twoim życiu?

- Setki - powiedział lekko.

- Bardzo mi pomagasz. Czy jest ktoś, kogo powinienam się szczególnie strzec?

Zmarszczył czoło z namysłem.

- Jedna czy dwie zastanowią się pewnie nad wsypaniem arszeniku do twego jedzenia, ale chyba nie posuną się do tego.

- Cóż za ulga. Pewnie całe miasto jest pełne twoich byłych przyjaciółek.

- Dokładnie. A swoją drogą, wspaniałą masz tę galerię. Sprzedasz ją, czy tylko zamkniesz?

Wpatrzyła się w niego, jakby nagle wyrosły mu rogi.

- *Sprzedać? Zamknąć? Zwariowałeś?* Od trzech lat haruję, żeby coś z niej zrobić. Dlaczego miałabym ją zostawić teraz, gdy nareszcie zaczyna przynosić zysk?

- Będziesz musiała coś z nią zrobić, jeśli masz za mnie wyjść i przeprowadzić się do Summerset - przypomniał jej delikatnie. - Nie bądź tępa, kochanie. Powinnaś spodziewać się takich pytań.

- Ale nie z twojej strony - powiedziała ponuro. - Kiedy widziałeś galerię?

- Wczoraj wieczorem zatrzymałem się w drodze do hotelu i zajrzałem przez okna. Dobrze, że była zamknięta, bo i tak mogę sobie pozwolić tylko na oglądanie.

- To nieprawda. Rzeczywiście kupuję tylko oryginały, ale ceny są zróżnicowane.

- Wnętrze nie robi takiego wrażenia.

- Stworzenie pozorów sukcesu nie jest tanie, Riley.

- Więc wycofasz się i sprzedasz ją?

- Może to ty się przeprowadzisz.

- Do Chicago? Nie ja. Poza tym, jeśli ma to być

taki dynastyczny ślub, muszę grać rolę głowy rodziny. Udawaj, kochanie. Powtórz to sobie kilka razy na próbę: „Gdy wyjdę za Riley, sprzedam galerię”.

- Po moim trupie! Ona jest wyjątkowa!

- Powtarzaj dalej: „Będę miała tuzin dzieci...”

Kawał nie wydawał się jej już taki zabawny.

Wyglądało na to, że Riley znacznie lepiej niż ona przystosował się do sytuacji.

- To wcale nie śmieszne - mruknęła.

- To ty wspomniałaś o przekazaniu nazwiska następnym pokoleniom - przypomniał jej.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś męskim szowinistą.

Pewnie uważasz, że twoja żona powinna siedzieć w domu i wychowywać dzieci.

- Siedzieć w domu - nie. Wychowywać dzieci - tak.

- To sprzeczność - wytknęła mu Debora. - Niczego innego się po tobie nie spodziewałam, ale...

- Dlaczego sprzeczność? Mam zamiar zmieniać pieluszki, podgrzewać butelki o trzeciej nad ranem, wyjmować drzazgi - i pracować. Dlaczego moja żona nie mogłaby mieć tych samych możliwości pełnego życia?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- I nie próbuj zmieniać tematu. Jestem pewien, że Ida będzie bardzo podniecona wizją naszych pięknych i czarujących dzieci. Kim one dla niej będą?

- Ciotecznymi prawnuczkami i prawnukami - odpowiedziała Debora automatycznie. - I niewątpliwie wszystkie będą rude. Cholera, Riley, to koszmar!

Wydawał się nie słuchać.

- Z twojej strony tak, będą ciotecznymi prawnukami. Ale z mojej? Ja przecież też jestem jakimś krewnym.

- Kto by liczył tak daleko?

- Wiem! - Riley strzelił palcami. - Zadzwonimy po prostu do R. Bristola Piątego - powiedział wesoło. - Na pewno z przyjemnością nam to wyjaśni.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po tej wymianie zdań Debora milczała przez jakiś czas, ale dźwięk własnego głosu był widocznie dla Riley'a wystarczającą rozrywką. Porzuciła więc znaczące milczenie i reszta drogi upłynęła im bardzo szybko. W pewnej chwili stwierdziła ze zdumieniem, iż wjeżdżają już do Summerset, miasteczka położonego nad brzegiem rzeki Summer, i pną się szerokimi, pustymi ulicami w kierunku najwyższego wzniesienia.

Lassiter House był niewątpliwie najwspanialszą prywatną rezydencją w Summerset. Zbudowano go w najwyższym punkcie miasteczka, skąd rozciągał się widok na okolicę. Teraz, w środku lata, zasłaniały go drzewa, których było więcej niż mieszkańców Summerset, ale w zimie dom można było dostrzec z odległości wielu kilometrów.

Jacob Lassiter zbudował go na szczycie wzgórza podobno dlatego, by cieszyć się wiatrami z każdego kierunku, w czasach gdy klimatyzacja, pomagająca znieść letnie upały, istniała tylko w wyobraźni pisarzy fantastów. Ale Debora zawsze uważała, że naprawdę *chodziło mu o to, by panować ze szczytu wzgórza jak feudalny monarcha, patrząc z góry na poddanych*. W czasach Jacoba Summerset było właściwie feudalnym miasteczkiem, bo połowa mieszkańców pracowała dla braci Lassiterów, a druga dla firm, które pierwszej zapewniały żywność, odzież i usługi.

- Tak nagle zamilkłaś - powiedział Riley. - Czy znowu jesteś na mnie zła, a może to tylko nerwy?

- Ani jedno, ani drugie. Po prostu zamysliłam się.

Ciekawa jestem, czy Jacob był szczęśliwy, mieszkając tutaj i patrząc na wszystkich z góry. Może tęsknił za swoim bratem i żałował, że się pokłócili?

- Miał całe lata, żeby się pogodzić, jeśli naprawdę tego żałował. Ale nic go to nie obchodziło - stwierdził krótko Riley.

Spojrzała na niego z nagłym zaciekawieniem. Czyżby Bristol miał rację? Czy Riley miał żal, czy uważał, że on i jego rodzina zostali oszukani?

- Ależ z ciebie romantyczka, Debbie, kochanie.

Odpreżyła się.

- Może. Ale nadal uważam, że musiał tęsknić za czasami, kiedy mieszkali w sąsiednich domkach i codziennie rano razem wyruszali do fabryki.

- Założę się, że za niczym nie tęsknił. A oto i dom, w całej okazałości.

Lassiter House był skrzyżowaniem szwajcarskiego domku ze średniej wielkości katedrą. A może architekt po prostu zrealizował wizję Jacoba Lassitera, który żadnej z tych rzeczy nigdy nie widział na własne oczy? Dom zajmował cały szczyt wzgórza, a jego trzy kondygnacje pod stromym, łupkowym dachem tworzyły dodatkowo dorobioną przez człowieka górę. Był solidny, masywny i ogromny. Przypory podtrzymywały ściany zewnętrzne i ogromny balkon, ciągnący się wzdłuż całej ściany frontowej. Kamienne rzygacze, każdy inny, dekorowały niezliczone narożniki.

Riley zatrzymał jaguara na małym, wyciętym ze wzgórza parkingu i obszedł samochód, by otworzyć jej drzwi.

- Co powiedziała Ida, kiedy do niej zadzwoniłaś? - spytał. - Chyba nie spodziewa się, że zostanę na obiedzie? Naprawdę muszę wracać do pracy.

- Z tym nie będzie problemu - odrzekła lekko Debora. Spojrzała w górę, na szerokie schody, z co najmniej setką stopni, które wiodły do ogromnych

frontowych drzwi. Westchnęła - parking był w połowie wzgórza. - Gdyby Jacob zrobił go na szczycie, pewnie zepsułoby to widok. Ale jednak...

- On to zrobił celowo - mruknął Riley. - W ten sposób każdy, kto przychodził do niego na skargę, był od razu w gorszej sytuacji. Wyczerpany i zadyszany.

- Zapomniałam już, jak tu stromo - powiedziała po chwili, łapiąc oddech i zatrzymując się na szerokim tarasie. - Swego czasu bez trudu biegałam w górę i w dół. To okropne, co się z wiekiem z nami robi.

- Nie zauważyłam.

Debora pomyślała niechętnie, że to pewnie prawda - Riley nie miał nawet przyspieszonego oddechu. Z wielką ulgą nacisnęła guzik ozdobnego dzwonka przy drzwiach.

Po chwili drzwi zatrzeszczały, otwierając się. W szczylinie pojawił się Henry, człowiek do wszystkiego Idy Lassiter. Czyściutki biały fartuch chronił mu ciemne spodnie i dziewiczo białą koszulę. Bezbłędnie zawiązana czarna muszka tkwiła pod szyją. Riley powiedział jej kiedyś, że Henry śpi w muszce. Przez długie lata Debora mu wierzyła.

- Czym mogę... Panna Debora! - Pomarszczona stara twarz zmarszczyła się jeszcze bardziej. - I pan Lassiter. Witamy w domu, panno Deboro!

Drzwi otwarły się na całą szerokość i Debora przestąpiła próg Lassiter House. Wielki hol był ciemny i chłodny, mimo panującego na dworze upału. Jej oczy przez moment przyzwyczajały się do mroku, ale nie musiała widzieć holu, by poczuć, że nic się w nim nie zmieniło. Powiedział jej o tym zapach - ten sam lekko stęchły, który zapamiętała ze swego pierwszego pobytu, gdy miała niecałe cztery lata. W odległym kącie lśniła matowo ta sama, stara zbroja, której bała się jako dziecko, a na podłodze leżał wytarty chodnik, na którym w deszczowe dni skakała na skakance. No

i ten sam stary mężczyzna, w tej samej starej muszce. Może naprawdę w niej spał?

- Powiem pannie Lassiter, że państwo przyjechali
- odparł Henry. - Czy spodziewa się państwa?
- Tak - rzekł Riley.
- Właściwie nie - mruknęła Debora.

Henry bez komentarza przeniósł spojrzenie z Debory na Riley'a i z powrotem. Odwrócił się i wyszedł z holu.

- Biedny Henry - powiedziała. - W pierwszej chwili pomyślałam, że nic się nie zmienił, ale teraz widzę, że jednak bardzo się postarzał.

- Co to znaczy „właściwie nie”? - spytał Riley.
- Powiedziałaś mi, że dzwoniłaś do Idy.

- Nie. To znaczy nic takiego nie mówiłam.

Riley utkwiał w niej wzrok. Milczenie przeciągało się.

- No tak - przyznał w końcu. - Powiedziałaś tylko, że Ida nie spodziewa się mnie na obiedzie. Bo nawet do niej nie zadzwoniłaś. Do jasnej cholery, Debbie!

- Uznałam, że lepiej będzie zrobić jej niespodziankę i nie dać czasu na żadne przemyślenia przed spotkaniem z nami.

- Zrobić jej niespodziankę? Debbie, ty idiotko! Jak mogłaś...? - Przerwał i westchnął. - No cóż, osiągnęłaś w każdym razie jedno. Ida z łatwością uwierzy, że uległaś mojemu złemu wpływowi. Zapomniałaś o zasadach dobrego wychowania.

- Jestem zakochana - oznajmiła Debora z godnością. - To usprawiedliwia wiele rzeczy. Ale pewnie masz rację, jeśli chodzi o reakcję Idy. Nigdy nie przestrzegałaś żadnych zasad.

- Nie zgadzam się z tym oskarżeniem. Mama nauczyła mnie, by być grzecznym wobec dam.

- Jak? Mówiąc im, że są idiotkami? - parsknęła Debora.

- Może dlatego, że nie jesteś damą? Rozważ tę możliwość.

Deborze wydało się, że słyszy kroki w holu na piętrze. Stanowcze, miarowe kroki. Teraz, gdy było już za późno, by odwołać tę farsę, gdy za chwilę stanie twarzą w twarz z ciotką Idą i będzie musiała opowiedzieć jej całą niewiarygodną historię, poczuła, że żołądek kurczy się jej gwałtownie.

- Może lepiej będzie, jak sobie pójdziesz, Riley - szepnęła. - Ja się tym zajmę. Jeśli nie potrafisz odegrać swojej roli...

- Masz wątpliwości? - zamruczał bardzo cicho i łagodnie.

Później Debora nigdy nie wiedziała, jak to się stało, że nagle znalazła się w silnych objęciach Riley'a. Podniosła głowę z ogniem w oczach, zdumiona, że nie jest w stanie się uwolnić, chciała zaprotestować, ale uciszył ją, przykrywając ustami jej wargi i całując powoli i dokładnie, jakby wcale nie był to pierwszy raz.

Głośne i zdecydowane chrząknięcie, które dobiegło jej uszu, przywróciło nieco przytomność. Skoro ciotka Ida nic nie mówi, musi być bliska ataku serca, pomyślała Debora. Takie rzeczy w jej głównym holu!

Riley, stojący tyłem do schodów, wydawał się nic nie słyszeć i dalej ją całował. Debora miała ochotę go ugryźć, ale resztki zdrowego rozsądku podpowiedziały, że choć ciotka jest najwyraźniej zaszokowana, sprawy mogą przybrać jeszcze gorszy obrót. Nie otwierała więc oczu i udawała, że niczego nie zauważyła.

Znowu chrząknięcie - tym razem głośniejsze.

Debora otworzyła jedno oko. Nad ramieniem Riley'a mogła dostrzec Idę, stojącą na najwyższym stopniu, dominującą nad całym holem. Jej kanciasta postać była jak dawniej wyprostowana i szczupła. Włosy miały ten sam odcień szarości, który Debora zapamiętała z dzieciństwa. Również pozę - ramiona skrzyżowane na piersi - pamiętała dobrze z różnych awantur.

Riley w końcu przestał ją całować i odwrócił nieco głowę.

- Ida - powiedział, jakby ujrzał ducha. - Bardzo przepraszam. Widzisz, twoja siostrzenica właśnie obiecała mnie uszczęśliwić.

Mówił nieco zachrypniętym głosem, jak ktoś, kogo poniosła namiętność. Debora musiała przyznać, że było to przekonujące przedstawienie. Byleby tylko nie przesadził.

- Mam nadzieję, że będzie cię uszczęśliwiać na osobności - usłyszała znany, zgrzytliwy głos - a nie w moim holu. Henry byłby zaszokowany.

Riley roześmiał się z zakłopotaniem.

- Chyba nie wyraziłem się jasno. Chodzi o to, że obiecała za mnie wyjść.

- W dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo, co młode kobiety mają na myśli - sapnęła Ida. - A więc to sprowadza cię do Summerset, młoda damo.

Debora nie odpowiedziała. Najwyraźniej nie doceeniła ciotki Idy, pomyślała. Nie wygląda na przejętą. Ciekawa jestem...

Riley uszczypnął ją. Debora gwałtownie powróciła do rzeczywistości.

- Chciałam się jak najszybciej podzielić z tobą moim szczęściem - powiedziała najśłodszym głosem, na jaki mogła się zdobyć. Riley zrobił minę, jakby poczuł się trochę niedobrze.

- Mów głośniej - rozkazała Ida. - Bąkasz coś pod nosem.

Debora westchnęła i powiedziała głośniej:

- Chciałabym zacząć planować ślub, więc potrzebna mi twoja rada. Teraz mogłam przyjechać tylko na tydzień, ale...

- Chodź tu - poleciła Ida. - Możesz chyba na chwilę odkleić się od tego młodego człowieka i pocałować mnie na powitanie.

Dopiero teraz Debora zdała sobie sprawę, że Riley wciąż ją obejmuje. Ucisnęły się krótko, sztywno i dość niezręcznie: Ida nie zeszła ze stopnia, a jej ostra broda wbiła się boleśnie w głowę Debory.

- Jedliście obiad - stwierdziła raczej, niż spytała Ida. - W każdym razie nie mogę was nakarmić. Henry ma i tak za dużo roboty, żeby jeszcze na zawołanie bawić się w kucharza.

Debora skrzywiła się. Ta uwaga była najwyraźniej wymierzona w Rileyę. Może jednak myliła się co do reakcji Idy na dynastyczne alianse? Ciotka wcale nie robiła wrażenia wzruszonej.

- Tak, jedliśmy obiad.

- A zatem Riley może wracać do pracy. Jestem pewna, że ma dużo roboty. A my sobie pogawędzimy - oświadczyła Ida, ruszając przez hol. - Muszę od razu uprzedzić Henry'ego, że na kolacji będzie jedna osoba więcej. To dla niego utrudnienie.

- Nie przejmuj się Debora - zawołał Riley. - Zjemy kolację razem, w restauracji. Myślałem, że może zrobimy coś w rodzaju zaręczynowego przyjęcia, Ido - ty, moja mama, nas dwoje...

Ida zatrzymała się, ale nie odwróciła.

- Bardzo by było miło, ale nie chciałabym zostawiać mojego gościa samego.

Riley uśmiechnął się kwaśno do Debory, której oczy zaokrągliły się ze zdumienia.

- Jego też przyprowadź - powiedział i dodał szeptem: - Jest niemal częścią rodziny. Widzisz teraz sama, o co mi chodziło, Debbie?

Była to nie tyle pogawędka, co mnóstwo pytań, wystrzeliwanych z prędkością karabinu maszynowego. Ida nie słuchała - a może nie słyszała - odpowiedzi. Po trzecim napomnieniu na temat bąkania pod nosem Debora chciała spytać, kiedy ciotka miała ostatnio

badany słuch. Powstrzymała się jednak i powtórzyła odpowiedź. Właściwie mogła nie zadawać sobie trudu

- Ida mówiła już o zupełnie czymś innym.

- Zawsze sądziłam, że wyjdiesz za jakiegoś zręcznego chicagowskiego prawnika, maklera czy kogoś takiego - powiedziała.

- Spotykałam się z kilkoma takimi. Ale widzisz, ciociu, nie ma nikogo, kogo można by porównać z Rileyem - odpowiedziała Debora, dodając w myśli:

- I to prawda!

- Mam nadzieję, że oboje zdajecie sobie sprawę, że fundusz Lassiterów nie będzie was utrzymywał. To, co dostajesz teraz, to wszystko.

Powinłam się cieszyć, że sama zaczęła o tym mówić, pomyślała Debora, mimo że robi to w sposób mało przyjemny.

- Tak przypuszczałam - odpowiedziała spokojnie.

- Ale skoro już o tym mówimy, to właściwie na co są przeznaczone pieniądze? Podobno można z nich opłacić ślub?

Ida zmrużyła oczy.

- Niewątpliwie William ci to powiedział. Oznacza to zapewne, że nie ma ani grosza i nie może sobie pozwolić nawet na taksówkę do kościoła.

- Tatusi świetnie sobie radzi - oznajmiła Debora sztywno.

Ida prychnęła.

- Nie mam teraz czasu na analizowanie sytuacji. Dziś po południu gram w brydża. - Wstała, wyprosiła towar i groźna. - Porozmawiamy o tym później.

Debora z ulgą wycofała się do pokoju gościnnego. Po prostu muszę się do tego przyzwyczaić, pomyślała. Zapomniałam już, jak zjadliwa potrafi być ciotka.

Obserwowała odjazd wiekowego rolls-royce'a, z Idą siedzącą sztywno na tylnym siedzeniu i Henrym schylonym nad kierownicą. Gdy tylko zniknęli z pola

widzenia, zmieniła sukienkę na szorty i stanik i zeszła na wyłożone ceglami patio na tyłach domu. Wzięła z sobą książkę i szklanę wody z lodem, myśląc z radością, że przez najbliższe trzy godziny w Lassiter House będzie panować spokój.

W rzeczywistości trwał niecałe trzy minuty.

Pierwszym sygnałem kłopotów była czerwona piłka plażowa, która przeleciała nad płotem i z cichym chlupnięciem wpadła do basenu. Debora zmarszczyła brwi i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kołyszącą się lekko na wodzie piłkę.

Po chwili nad ceglany murem, otaczającym patio i basen, pojawiła się głowa, ozdobiona szopą jasnoblonde włosów. Za głową wynurzyło się szczupłe ciało, które przelazło przez mur i z głuchym plaśnięciem wylądowało na ceglanej podłodze. Chłopiec mógł mieć z siedem czy osiem lat. Przyglądała się w milczeniu, jak wytrzeptał siedzenie swoich szortów, zrzucił buty i ruszył w kierunku basenu.

Odłożyła książkę i zdjęła ciemne okulary.

- Chwileczkę - powiedziała.

Obrócił się w jej stronę. W dużych brązowych oczach dostrzegła przerażenie. Zbladł tak, że aż piegi na buzi wydawały się ciemne.

- Cóż ty tu, u licha, robisz? - spytała. - To prywatny teren.

Ton jej głosu najwyraźniej go uspokoił.

- Przyszedłem po swoją piłkę. Przeleciała przez mur.

Debora przyglądała mu się przez dłuższą chwilę - chude ciało, mała, kwadratowa buzia z dołkiem w brodzie.

- Zapewne przypadkiem, gdy się bawiłeś - powie działa.

Chłopiec przytaknął.

- Pytanie tylko, gdzie się bawiłeś? Musiałeś być na

terenie posiadłości panny Lassiter, chyba że rzuciłeś piłkę od samych stóp wzgórza. Przesząpił z nogi na nogę.

- Skąd mogłem wiedzieć, że pani tu jest? - spytał rozsądnie. - Nawet pani nie pisnęła, gdy przerzuciłem piłkę przez mur. Gdyby pani się odezwała, w sekundę byłbym na dole.

Debora z trudem stłumiła chichot, wywołany tą rozbrajającą szczerością.

- Widzę, że wypracowałeś sobie cały system. Ile piłek w ten sposób straciłeś?

- Tylko dwie - powiedział skromnie. - Ona zawsze wychodzi w piątki, w większość wtorków, a czasami także w czwartki.

Debora pokręciła głową w zdumieniu.

- Niesamowite - rzuciła. - Tuż pod jej nosem...

Chłopiec przełknął ślinę.

- "Wyda mnie pani? "Wyda tej czarownicy? Ukryła uśmiech. Ida Lassiter jako miejscowa czarownica... Rozumiała, skąd wzięła się taka opinia.

- Żeby przepuściła cię przez maszynkę do mięsa? Ona nie jest taka zła. Po prostu nie jest przyzwyczajona do dzieci. Nigdy nie była.

Z pewnym zdziwieniem zdała sobie sprawę, że to prawda. Znaczna część surowości Idy, której tak bała się jako dziecko, była w rzeczywistości niepewnością lub strachem przed skompromitowaniem się. Nie ma co się nad nią uzalać, pomyślała. Nadal zachowuje się tak samo.

Szklane drzwi prowadzące na patio otworzyły się i męski głos zapytał:

- Ida? Czy z kimś rozmawiasz?

Stojący w drzwiach mężczyzna dostrzegł Deborahę i szybko ruszył w jej stronę.

- Pani musi być Debora, prawda? - spytał ciepłym głosem. - Rozpoznałem panią z portretu

w pokoju Idy. Jestem Preston Powell. Nie wiedziałem, że pani tu siedzi. Tak się cieszę, że mogę panią poznać.

Preston Powell, pomyślała. Facet, którego Riley nazywa śliskim wężem.

Musiała przyznać, że nie robi wrażenia naciągacza. Był starszy, niż się spodziewała, chyba po czterdziestce. Skronie pokrywała mu wytworna siwizna, oczy miał duże, niebieskie i niewinne, a w tej chwili malował się w nich wyraźny zachwyt. Miał na sobie ubranie do gry w golfa, kolorowe, ale czyste i dobrze wyprasowane - niewątpliwie przez Henry'ego. Nie wyglądał ani ślisko, ani wężowato.

Ale ostatecznie żaden naciągacz nie przypomina naciągaczy z filmów, bo nie miałby z czego żyć. Sam fakt, że facet wygląda jak starsza wersja anioła z obrazu Botticellego, nie robi z niego niewiniątka.

- To znowu ty? - spytał chłopca. - Znowu włóczysz się i napastujesz Judzi? Chyba *złożę na* cię skargę.

Chłopiec spojrział na Deborę szeroko otwartymi oczyma. Zrozumiała, że jest przerażony.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedziała spokojnie.

- Ten młody człowiek po prostu dotrzymuje mi towarzystwa.

Oczy Prestona Powella znów nabrały ciepła.

- Gdybym wiedział, że pani tu jest i pragnie towarzystwa...

Włożyła okulary na nos i podniosła książkę.

- Jestem pewna, że jest pan zbyt zajęty sprawami Paradise Valley, by spędzać czas ze mną - powiedziała i pożałowała, że nie ugryzła się w język. Jej słowa najwyraźniej go zaintrygowały.

- Czy to znaczy, że Ida opowiedziała pani o naszych planach?

Deborze ścisnęło się serce. Riley miał rację - Ida tkwiła w tym po uszy.

- Byłbym szczęśliwy, mogąc pani sam o wszystkim

opowiedzieć - mówił dalej - ale za chwilę mam bardzo ważne spotkanie przy golfie. Przyszłość całego przedsięwzięcia może zależeć od tego spotkania. Gdyby nie było ono tak ważne, na pewno odwołałbym je tylko dlatego, że pani o to prosi...

Z trudem wstrzymała się od uwagi, że wcale go o to nie prosiła. Będzie musiała uzyskać możliwie dużo informacji o panu Prestonie Powellu, a jeśli uda się to osiągnąć dzięki uprzejmości, to powinna być wobec niego uprzejma.

- A zatem kiedy indziej - powiedziała. - Z góry się na to cieszę.

Nie zdziwiłaby się, gdyby przed odejściem ucałował jej dłoń.

- Uuuch - odetchnął chłopiec. - Nie myślę...

Debora uciszyła go, kładąc palec na ustach, i wskazała na wodę. Uniósł brwi, ale wskoczył do basenu. Kilka minut później dotarł do niej dźwięk samochodu wyjeżdżającego z garażu i zjeżdżającego ze wzgórza.

Chłopiec też go usłyszał i podciągnął się na brzeg basenu.

- Pojechał - oświadczył.

- I w samą porę. Jak się nazywasz?

- Alec Chastain.

- O co chodziło panu Powellowi, gdy powiedział, że się tu włóczysz?

- Zaproponowałem mu, że za parę dolarów umyję mu samochód. Ale wtedy naprawdę nie byłem na terenie posiadłości. Spotkałem go na dole wzgórza. Nie wiem, dlaczego się tak zezłościł.

Debora mogła odgadnąć - sądząc z dźwięku silnika, to nie był byle jaki samochód. Ona też nie powierzyłaby temu chłopcu swego jaguara. A jednak...

Alec wyszedł z wody.

- Dziękuję, że mnie pani nie wydała. Mama by mnie zabiła. Nie, nie zabiłaby mnie właściwie, ale

popatrzyła w ten jej sposób... - Zamilkł na chwilę. - Czy pozwoli mi pani przejść przez bramę? Niewygodnie przełazić przez mur, gdy jest się mokrym.

Debora nie patrzyła na niego. Przewróciła stronę w książce i spytała niedbale:

- Jeśli twoja mama ci nie pozwala, dlaczego to robisz?

Kątem oka zauważyła, że wzruszył chudymi ramionami.

- Miejski basen jest pęknięty i cała woda natychmiast z niego wycieka, więc rok temu go zamknęli. A nie możemy sobie pozwolić na wpisowe do klubu. Nie ma gdzie pływać, a mnie tego bardzo brakuje.

- A ten basen stoi tu sobie nie używany. - Zastanawiała się, dlaczego Ida w ogóle kazała go napełnić. W tym klimacie otwarty, otoczony drzewami basen był bardziej kłopotem niż przyjemnością, a Ida nie umiała pływać.

- On go używa. - Ton głosu nie pozostawiał wątpliwości, o kim Alec mówi. - To ładny basen.

- Dawniej otoczony był kolumnami, które udawały, że to rzymska łaźnia. Ktoś mi mówił, że był to pierwszy basen w mieście, a napełniano go słoną wodą.

- To brzmi okropnie. - Alec zmarszczył nos.

- Oto mówi dziecko z wnętrza kontynentu. Pływanie w słonej wodzie przypomina kąpiel w morzu.

- Tak? Nigdy nie widziałem morza - powiedział smutno.

Wiele dzieci nigdy nie widziało morza, pomyślała. Nie wpadaj w sentymenty!

- Dziękuję, że pozwoliła mi pani popływać - dodał Alec, wyciągając piłkę.

- Powiedziałam panu Powellowi, że dotrzymujesz mi towarzystwa - odparła Debora. - Więc nie rób ze mnie kłamczuchy. Wskakuj do wody, mały.

- Mogę? Naprawdę?

- Nie obiecuję niczego na przyszłość - ostrzegła go.
- Ale dziś po południu możesz się popluskąć.

Siedział przeważnie w wodzie, ale od czasu do czasu kładł się na kafelkach koło jej leżaka i rozmawiał z nią ze swobodą starego przyjaciela. Debora wysłuchiwała opowieści o szkole, o tym, jak się cieszy, że jest lato, i dlaczego jego matka i on przyjechali do Summerset po śmierci ojca, dwa lata temu. Między wierszami mogła wyczytać, jak bardzo było im ciężko. Ale chłopiec nie prosił o współczucie - podawał tylko fakty. Potem zmienił temat na Paradise Valley i jak to będzie wspaniale, kiedy kurort zostanie otwarty. Może wtedy dostanie pracę na polu golfowym - rozmarzył się. I nauczy się jeździć na nartach wodnych na jeziorze Paradise.

Biedny Alec, pomyślała. Pomimo swoich doświadczeń z Prestonem Powellem, nie dostrzega jego kłamstw. Zastanawiała się, ile osób w Summerset podziela nadzieje Aleca. Nic dziwnego, że Riley jest tak zaniepokojony.

Chyba powinnam poszukać czegoś do jedzenia w lodówce, pomyślała. Obiad był okropny. Riley zjadł cheeseburgera w zajeździe dla ciężarówek, w którym najbardziej zbliżoną do zdrowej żywności potrawą była smażona ryba niepewnego pochodzenia i wieku. Bała się nawet myśleć o tym, jaka może być kolacja.

To tylko tydzień, pocieszała się. Potem wróci do Chicago, do Bristol, i pójda do „Coq au Vin” na przepiórki. Czują w ustach ich smak.

Samochód Prestona Powella okazał się być śnieżnobiałym cadillakiem z czerwoną tapicerką. Debora musiała przyznać, że nie powierzyłaby go Alecowi, ale to nie zmieniło jej nastawienia do Prestona. Gdy z atencją usadowił Idę na przednim siedzeniu, ale

wymownym spojrzeniem dał Deborze do zrozumienia, że to ją wolałby mieć koło siebie - miała ochotę zacząć gryźć. Najchętniej ugryzłaby Idę, która najwyraźniej nic nie powiedziała Powellowi o jej zaręczynach.

Była ciekawa, gdzie znajduje się restauracja Rileya i załowała, że nie wypytała go o to wcześniej.

Cadillac zwolnił i skręcił w jedną z wąskich, wyłożonych klinkierem uliczek, biegnących w dół do rzeki w starej części Summerset. Debora zdumiała się. Nie było tam nic poza starymi magazynami, opuszczonymi dawno temu, gdy zarzucono handel przybrzeżny.

Ale przynajmniej jeden z magazynów nie był już opuszczony - wysoki, wąski budynek otaczały samochody. Gdy cadillac zatrzymał się przed wejściem, człowiek w ciemnozielonym uniformie podszedł i otworzył drzwiczki. Pomógł wysiąść Idzie, a Preston Powell podał rękę Deborze. Na chwilę zatrzymała się na chodniku i przyjrzała budynkowi. Czyżby to miejscowi nazywali „U Rileya”?

- Pana samochód - powiedziała odruchowo, idąc z Prestonem w stronę wejścia. Ale silnik cadillaca zamruczał, a młody człowiek odprowadził samochód na parking. Służba parkingowa? - zdziwiła się. W takim miasteczku jak Summerset?

Wnętrze było mroczne, rozświetlone tylko delikatnym blaskiem świec. Na ciemnozielonych ścianach foyer wisiały dawne plakaty reklamowe i seria starych botanicznych litografii, które zaparły Deborze dech.

Młoda blondynka w ciemnoniebieskiej sukni powitała ich zawodowym uśmiechem, który stał się serdeczny, gdy rozpoznała Idę i zniknął całkowicie na widok Debory.

Aha, pomyślała Debora. To musi być jedna z tych, które chętnie wsypałyby mi arszeniku do zupy. Najwyraźniej już wie o mnie.

Młoda kobieta poprowadziła ich przez pełen luster, kryształów i witraży bar oraz przez salę jadalną do mniejszego pokoju po drugiej stronie budynku, skąd przez szerokie okna widać było rzekę. Stała tam już niewielka grupka ludzi: matka Riley'a i mężczyzna z Siwą czupryną, który zapewne był jej nowym mężem, a także Riley w wieczorowym ubraniu. Czerni i biel urozmaicał ciemnozielony krawat, przy którym włosy Riley'a nabrały koloru starej miedzi. Wyglądał wspaniale, pomyślała Debora. A także... swobodnie. Jakby urodził się w wieczorowym ubraniu.

Rozejrzała się po pokoju. Jeszcze więcej botanicznych litografii, więcej niezwykłych antyków. Przy jednej ze ścian stał bufet z zakąskami, których delikatny zapach wypełniał powietrze. Obok, w srebrnym wiaderku, chłodziło się wino.

Dalekie to było od półbaru, czy półkawiarni, które *sobie wyobrażała. To nie była nawet zwyczajna restauracja.* A Riley jej nie ostrzegł.

Tego się nie da uniknąć, pomyślała. Wcześniej czy później go zabiję. A jeśli tak będzie się zachowywał, na pewno nie będzie musiał długo czekać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Deborze wydawało się, że w powitalnym uśmiechu Rileya był cień złośliwej satysfakcji, ale mogła się tego spodziewać. Zanim przywitał się z Idą i Prestonem Powellem, pocałował ją w policzek i temu pocałunkowi nic nie mogła zarzucić. Był lekki, ale na tyle długi i pełen tęsknoty, by zasugerować, że Riley chciałby mieć mniejszą publiczność.

Debora podeszła do matki Rileya, czując ulgę i prawdziwą radość. Podczas długich wakacji, spędzanych u ciotki Idy, Anna Maria Lassiter była jej ratunkiem, a wielki, stary, pomalowany na biało dom na farmie stanowił miłą odmianę po sztywności Lassiter House - pomijając, oczywiście, obecność Rileya. Tam, na farmie, można było kopać w ziemi tunel do Chin, bez żadnych nieprzyjemnych następstw, albo nabałaganic w kuchni przy okazji proszonej herbatki dla lalek, czyli robić rzeczy, których, zdaniem Idy, małe dziewczynki robić nie powinny. W każdym razie nie w jej ogrodzie i nie w jej kuchni.

Debora przywitała się więc z Anną Marią z prawdziwą przyjemnością, zauważyła z pewnym smutkiem drobną siateczkę zmarszczek na jej twarzy, i została przedstawiona jej nowemu mężowi.

- No, nie jestem właściwie taki nowy - powiedział Alan Holmes z błyskiem w ciemnych oczach. - Raczej dość zużyty. Moja gwarancja skończyła się dawno temu. Ostrzegałem przed tym Annę Marię, zanim za mnie wyszła, ale wiesz, jakie są kobiety. Gdy raz coś sobie wbiją do głowy, logika idzie w ką.

- Wiem - powiedziała Debora, śmiejąc się. - Mnie się zdarzyło to samo.

- Ależ to wcale nie jest to samo - zaprotestowała poważnie Anna Maria. - Riley ma moją osobistą gwarancję. Obiecuję, że cokolwiek się zdarzy, on zawsze wyskoczy z jakąś niespodzianką.

- W tym przypadku niespodzianka to ja - mruknęła Debora.

- Owszem - uśmiechnęła się Anna Maria. - Chociaż nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Gdy byliście razem, zawsze leciały iskry... Kto mógł przypuszczać, że tak to się skończy? Ale, Deboro, tak się cieszę!

Ona naprawdę się cieszy, pomyślała Debora z poczuciem winy. Trudno. Jeśli uda nam się powstrzymać Prestona Powella od oszukania całego miasteczka, zrozumienie złagodzi rozczarowanie Anny Marii.

Kelnerka w ciemnozielonej sukience krzątała się, przynosząc drinki. Debora poprosiła o swój ulubiony rodzaj importowanej, mało znanej wody mineralnej i nie była zdziwiona, gdy ją dostała.

Spojrzała na nakryty dla sześciu osób stół.

- Czy Mary Beth nie przyjdzie? - spytała.

Anna Maria potrząsnęła głową.

- Ona i Rod mają dziś gości na kolacji. Rod jest teraz współnikiem tej firmy prawniczej, w której pracował. Oczywiście żałowała, że nie może przyjść. Gdyby Riley zawiadomił nas wcześniej...

- Mój przyjazd tutaj z Rileyem to był pomysł z ostatniej chwili - przerwała Debora. - Powiedziałam mu, że to dlatego, by nie musiał tłuc się pociągiem, ale tak naprawdę, gdy przyszło się pożegnać... - Usiłowała zrobić zawstydzoną minę.

Anna Maria uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Mary Beth bardzo chce cię zobaczyć. Może spotkamy się wszyscy jutro na farmie? - spytała

niemal nieśmiało. - Wiele się tam zmieniło i chciała-
bym, żebyś to zobaczyła. Ale, oczywiście, jeżeli nie
masz czasu...

- Nie mam czasu przyjechać na farmę?! Ależ za
skarby świata bym tego nie pominęła! - Przez chwilę
słuchała Idy, która mówiła coś głośno o finansowaniu
rozbudowy kurortu. Westchnęła. - Pod warunkiem, że
nie muszę ciągnąć z sobą ciotki Idy i jej kumpla.

- A więc słyszałaś o tej całej historii? - uśmiechnęła
się blade Anna Maria. - Miasto jest podzielone.
Połowa ludzi jest przekonana, że zrobi majątek na
Paradise Valley. Druga... no cóż, bez względu na to,
jak to się skończy, nie będzie miło.

- Anno Mario, jesteś uprzedzona - ostrzegł ją mąż.

- Wiem. I tutaj nie powinniśmy o tym mówić.

- Zwłaszcza że kumpel właśnie tu idzie - mruknęła
Debora.

- Pani Holmes! - wykrzyknął Preston Powell, robiąc
ruch, jakby chciał ją pocałować, ale szklaneczka z
koktajlem Anny Marii znalazła się niespodziewanie na
jego drodze. - Przez kilka ostatnich dni chciałem się z
panią porozumieć, ale byłem tak zajęty, że po prostu
nie miałem kiedy.

- Ja też jestem bardzo zajęta, panie Powell.

- Och, proszę nazywać mnie Preston. Przemyslałem
naszą ostatnią rozmowę i doszedłem do wniosku, że
mogę podwyższyć ofertę na pani ziemię. Ostatecznie
nie ma co udawać - to kluczowy rejon całego terenu. -
Oparł dłoń na jej ramieniu i ciągnął dalej: - Oczywiście
możemy się bez niego obejść, ale utrudni nam to życie,
jeśli będziemy musieli budować wokół pani farmy.

Anna Maria uśmiechnęła się chłodno i z dystansem.

- Dobrze - powiedziała słodko.

Przez moment Preston Powell wyglądał na zmie-
szanego, ale zaraz się roześmiał.

- Przez chwilę sądziłem, że chodzi pani o... Spotkajmy się w przyszłym tygodniu, żeby przedyskutować moją nową ofertę.

Debora zastanawiała się, czy ten facet jest rzeczywiście tak tępy. Nie, nie może być. Dobrze wie, o co chodzi Annie Marii, ale nie poddaje się bez walki.

- Może usiądziemy? - Anna Maria ruszyła do stołu.

Riley złapał Deborę za rękę i posadził koło siebie mrużąc:

- I co o tym sądzisz, kochanie?

- Doskonale wiesz, co sądzę o twojej małej restauracyjce. - Udało jej się uśmiechnąć słodko, na wypadek, gdyby ktoś się przyglądał. - Mogłeś mnie ostrzec.

- Przyznaj się, Debbie - powiedział sadowiąc się na krześle. - Wyobrażałaś mnie sobie jako kucharza w brudnym fartuchu, serwującego smażone kartofle i sadzone jajka, prawda?

Debora spojrzała ostrzegawczo na studiującą menu ciotkę Idę, ale Riley nie zwrócił na to uwagi.

- To była zbyt wspaniała okazja. Po prostu nie mogłem się oprzeć. Zresztą powinnaś potraktować to jako komplement.

- Komplement?

- Tak - mruknął cichutko. - Po dzisiejszym popołudniu mam do ciebie tyle zaufania, że nie wątpię, iż nie okażesz zaskoczenia. I miałem rację.

Ze względu na towarzystwo nie mogła odpowiedzieć mu tak, jakby chciała. Uśmiechnęła się więc z uczuciem i kopnęła go w łydkę wysokim obcasem pantofelka. Pokrył jęk kaszlem.

- Jedna niespodzianka warta drugiej - powiedziała uprzejmie.

- Czy są homary, Riley? - spytała Ida, wpatrując się w menu.

- Oczywiście. Przywieziono je samolotem dziś po południu.

- To ja proszę o homara. - Ida poprawiła się na krześle i skinęła na kelnerkę. - Najbardziej je lubię. Proszę przynieść mi kilka, żebym mogła wybrać. Deboro, nigdy nie jadłaś czegoś tak wspaniałego, jak homary u Riley'a.

Deborę przeszedł dreszcz.

- Zrezygnuję. Wiem, że to głupie, ale nie mogłabym zjeść czegoś, co na mnie patrzyło.

- Najpierw krewetki - mruknął Riley - a teraz nie chcesz homara? Odmówiłaś również chieseburgera na obiad. Moja droga, rezygnujesz z najlepszych rzeczy w życiu.

Siedzący obok Idy Alan Holmes uniósł kieliszek.

- Toast na cześć młodej pary - powiedział. - Za Deborę i Riley'a, żeby żyli długo i szczęśliwie!

Preston Powell zmarszczył brwi, ale przyłączył się do życzeń.

- Młoda para? - spytał. - To nieuczciwe, Deboro. Nie nosisz nawet pierścionka.

- Dziękuję za przypomnienie, Powell - odparł Riley, unosząc brwi. - Debbie, słonko moje, nie powiedziała na ten temat nawet słowa.

To głównie dlatego - pomyślała Debora - że Debbie-słonko-moje zapomniała o takich drobiazgach jak pierścionek zaręczynowy. Do diabła, powinnam była coś wybrać z mojej szkatułki na biżuterię.

Riley wsadził rękę do kieszeni.

- Choć nie ma on wielkiej pieniężnej wartości, kochanie, wiem, że będziesz go cenić tak jak ja - ze względu na jego wartość sentymentalną.

Na jego dłoni leżało ciemne aksamitne pudełeczko o zniszczonych brzegach. Debora spojrzała na nie z lękiem. Czy to znowu jakiś dowcip?

Sięgnęła jednak po pudełko i przez chwilę trzymała w dłoni, tłumacząc sobie, że może je bezpiecznie otworzyć. Riley nie odważyłby się na jakieś dziecinne

zarty, typu plastikowego grzechotnika czy fontanny wody. Chyba już z tego wyrósł?

Wstrzymała oddech i otworzyła zameczek.

W środku, na starej spłowiałej satynie leżała wąska złota obrączka z malutkim diamentem. Najwyraźniej pierścionek był bardzo stary, jego styl należał do dawno minionej epoki. Złoto było czyste i nie podrapane, a zdobiący obrączkę delikatny rysunek

- bardzo wyraźny.

Riley wsunął pierścionek na jej palec. Był tak lekki, że prawie go nie czuła. Riley spojrzał głęboko w jej oczy.

- Dzięki, że na mnie poczekałaś - powiedział tak głośno, by nawet ciotka Ida mogła usłyszeć. Podniósł jej dłoń do ust. Kątem oka Debora dostrzegła, jak jego matka ociera łzę.

Ciotka Ida odchrząknęła.

- Bardzo wzruszające. To chyba będzie najwspanialszy ślub, jaki Chicago kiedykolwiek widziało.

Debora przytaknęła, jednak w tej samej chwili Riley potrząsnął głową.

- Nie Chicago. Ślub odbędzie się tutaj, w Summer-

set.

- Świetnie - powiedziała Ida. - Będziecie musieli tylko pobić rekord Mary Beth.

- Nie interesuje nas współzawodnictwo, ciociu - odrzekła Debora uspokajająco. - Wychodzi się za mąż tylko raz w życiu i jest to dla kobiety najważniejszy dzień. Chciałabym mieć uroczysty ślub - z co najmniej dziesięcioma druhnami.

Deborze wydawało się, że Riley pomyślał: „Ja w tym nie wezmę udziału”. W każdym razie miał dosyć kwaśną minę.

- I przyjęcie z tańcami... - kontynuowała rozmarzonym tonem.

- Tutaj, u Rileya - roześmiała się zgrzytliwie Ida.

- Wykazujesz zdrowy rozsądek, dziewczyno. W ten sposób nie będziesz musiała zatrudnić nikogo do organizacji przyjęcia. Ale uważaj na menu. Jeśli będzie zbyt skomplikowane, pan młody może nie zdążyć do kościoła, a przecież nie o to ci chodzi!

Anna Maria i Alan wyszli pierwsi, tłumacząc, że teraz dzień na farmie rozpoczyna się bardzo wcześnie. Po nich odjechała Ida z Prestonem Powellem. Niechętnie zostawiali Deborę, ale Riley uspokoił ich, że sam odwiezie narzeczoną.

- Czym? - spytała Debora podejrzliwie, gdy zostali sami. - Nie zdziwiłabym się, gdybyś miał tu gdzieś osiodłanego konia. Albo wózek i osiołka.

- Niestety, nic z tych rzeczy - roześmiał się Riley.

- Odwiozę cię twoim własnym jaguarem. Nie zauważyłaś, że nie było go koło Lassiter House?

- Ukradłeś mój samochód?! Ty...

- Nie chciałyś przecież, żebym wędrował aż tutaj z całym bagażem na piechotę. Słuchaj, sprawdzę tylko, co się dzieje w restauracji i możemy wymknąć się na małą pogawędkę. Chyba musimy pogadać, nie sądzisz? To całe ślubne szaleństwo... To brzmiało, jakbyś planowała średniej wielkości koronację!

Wyszedł, zanim zdążyła zaprotestować. Usiadła z powrotem przy stole i czekała niecierpliwie, wybijając palcami rytm. Po chwili pojawiła się kelnerka.

- Och, przepraszam. Myślałam, że już wszyscy wyszli.

- Proszę się mną nie przejmować.

- Jeśli na pewno nie ma pani nic przeciwko temu...

Debora dostrzegła cienie pod oczyma kelnerki, która szybko i zręcznie zaczęła sprzątać ze stołu. Bez słowa wstała i zaczęła jej pomagać.

Kelnerka spojrzała zdumiona, ale odezwała się, dopiero gdy wszystkie naczynia spoczęły na wózekczku, a świeży obrus leżał na stole.

- Słyszałam, że prowadzi pani galerię w Chicago.
- Tak - potwierdziła Debora. - Ale już niedługo.
- Ach, tak?
- Gdy pobierzemy się z panem Lassiterem, oczywiście będę musiała ją zostawić - wyjaśniła, dodając w myśli: Ale na szczęście pan Lassiter i ja nie zbliżymy się nawet do ołtarza!

- Oczywiście. - Kelnerka odwróciła się, żeby wytoczyć wózek z naczyniami z pokoju. - Chciałam tylko życzyć pani wszystkiego najlepszego. Riley to wspaniały człowiek.

„Riley”, pomyślała Debora. Jak to demokratycznie z jego strony. A może to następna kobieta, która chętnie poczęstowałaby ją arsenikiem? Kelnerka nie była już taka młodziutka, ale na pewno nie przekroczyła trzydziestki. Gdyby nie zmęczenie, wyglądałaby atrakcyjnie. W każdym razie Preston Powell zauważył ją i przez cały wieczór usiłował z nią flirtować.

Kelnerka mówiła dalej:

- Riley jest...
- ...z powrotem - przerwał jej łagodnie od drzwi. - Więc proszę bez oklasków albo stanę się zarozumiała. Dzięki, Ruth, wspaniale sobie dałaś dziś radę.

Riley podprowadził Deborę do szerokich schodów, których szczyt ginął gdzieś w ciemnościach. Na półpiętrze zatrzymał się na chwilę, by z westchnieniem ulgi rozluźnić krawat i rozpiąć najwyższy guzik koszuli.

- Dokąd idziemy? - spytała z wahaniem.
- Do mojej prywatnej nory - zachichotał złośliwie.
- Czy mógłbyś zaczekać z rozbieraniem się, aż tam wejdziemy? Przyznaję, że niejednorodny styl ubioru na przyjęciu jest nieco krępujący, ale zrobiłeś już wiele, żebym się czuła swobodnie...

Dotknął lekko ramiączka jej białej bawełnianej sukienki.

- Źle się w tym czułaś? To bardzo ładna sukienka.

- Ale zbyt codzienna, w porównaniu z twoim ubraniem. Zawsze sądziłam, że elegancki strój w pojęciu mężczyzn z Summerset to po prostu spodnie i buty, w odróżnieniu od dżinsów i kaloszy.

- I tak jest nadal.

Nacisnął mosiężną klamkę i wprowadził Deborę do dużego pokoju, rozjaśnionego tylko światłem księżyca, wpadającym przez wielkie, wychodzące na rzekę okna.

- A jeśli czułaś się nieswojo, bo nie opowiedziałem ci o restauracji, to sobie na to zasłużyłaś. Powinnaś była mnie ostrzec, że nie dzwoniłaś do Idy.

- A co by było, gdybym nie zachowała zimnej krwi?

- Drobną utarczką między nami od czasu do czasu uwiarygodniłaby całą sytuację. Gdyby cię poniosło, padłbym ci do nóg i pogodzilibyśmy się. W ten sposób, kiedy za parę tygodni wszystko odwołamy, ludzie powiedzą: „No tak, można się było tego spodziewać, skoro klócili się nawet podczas zaręczynowej kolacji”.

- I nie będą podejrzewać, że to był tylko kawał? - spytała z namysłem.

- Coś w tym rodzaju.

- Więc nie masz zamiaru potem niczego wyjaśniać?

- A po co? Dostaniemy, czegośmy chcieli, więc po co wprawiać w zakłopotanie wszystkich, którzy dali się nabrać?

- Wolisz, żeby twoi przyjaciele sądzili, że cię puściłam kantem, niż powiedzieć prawdę?

- Debbie, kochanie, a kto mówi, że to ty mnie puścisz kantem?

Zapalił kilka lamp, które rozjaśniły pokój łagodnym światłem. Na podłodze z dębowych desek, na środku pokoju, stała kanapa i dwa miękkie fotele. Reszta ogromnej przestrzeni była właściwie pusta. Niektóre

ściany zrobiono z surowej cegły, inne pokryto szarym tynkiem. Żadnych obrazów, żadnych ozdób.

- Osoba, która urządziła restaurację, najwyraźniej nigdy tu nie była - mruknęła Debora.

- Ależ była. - Nalał dwa kieliszki koniaku i machnął ręką w stronę kanapy. - Ciągłe nudzi na temat tapet. Ale mnie się wydaje, że najpierw powinienem się zdecydować, gdzie postawić ściany.

- Masz rację. - Upiła łyżeczek koniaku i rozejrzała się. - Tylko nie stawiaj zbyt wielu.

- Będę o tym pamiętać. Dotychczas wydzieliłem Sypialnię, łazienkę i kuchnię, a także zgromadziłem mnóstwo kartek papieru z możliwymi rozwiązaniami reszty.

- Domyślałam się, że nie mieszkaś na farmie, ale nigdy nie sądziłam...

- Nadchodzi *taki czas*, Debbie, *gdy mężczyzna jest* Za stary, by mieszkać ze swoją matką. - Usiadł na kanapie koło niej, w jednej ręce trzymając kieliszek, drugą wyciągając wzdłuż oparcia za jej plecami. Niemal Odruchowo pogłaskał ją po ramieniu.

- Uważam, że powinniśmy wtajemniczyć twoją matkę. Nie dbam o to, że ciotka Ida uzna mnie za skończoną idiotkę, ale nie chcę, by Anna Maria tak myślała.

Riley zastanowił się. Jego palce bawiły się długim łokiem jej Debory.

- To może po prostu robić skromniejsze plany? Dziesięć drухen to naprawdę lekka przesada.

- Czy ty niczego nie rozumiesz, Riley? Im okazalszy ślub, tym dłużej trzeba go planować. Więc mniej podejrzeń, jeśli nie posuwamy się naprzód zbyt prędko w takich sprawach jak ustalenie daty, nie mówiąc już o fotografii, kwiatkach, orkiestrze...

- Orkiestrze? Jak w filharmonii? Nie wystarczy jakiś zespół?

- No wiesz, o co mi chodzi. Poza tym im droższy

ślub, tym więcej pieniędzy Ida musi przeznaczyć z funduszu...

- ...więc tym mniej może wyrzucić na Paradise Valley - powiedział z nagłym zrozumieniem.

- Moje gratulacje! - Głos Debory był pełen ironii. - Jeszcze będą z ciebie ludzie.

Jego palce przesunęły się na jej kark i zaczęły go delikatnie pieścić.

- O czym rozmawiałaś z Idą po południu?

- A jak sądzisz? O tobie, oczywiście. Zaczęła od stwierdzenia: „A więc to ty byłaś przyczyną tych wszystkich wyjazdów Riley'a do Chicago. Ile razy był tam ostatnio?” - i patrzyła na mnie, czekając na odpowiedź. Musiałam się nieźle nagłowić, żeby odpowiedzieć, skoro nie wiedziałam nawet, że w ogóle tam jeździł. A swoją drogą, co cię ciągnęło do wielkiego miasta?

- Już ci dawno mówiłem. Badania.

Debora jęknęła.

- Więc co jej odpowiedziałaś?

- Zatrzepotałam niewinnie rzęsami i powiedziałam: „Stanowczo za mało”.

- Wiedziałem, że moja wiara w ciebie jest uzasadniona - roześmiał się Riley. - Ale niewinne trzepotanie... - pokręcił głową - wymaga pewnych ćwiczeń.

- Cieszę się, że tak uważasz. Niewinne trzepotanie rzęsami nie jest moją ulubioną rozrywką.

- Skoro mowa o ćwiczeniu... - Opuścił rękę na jej plecy i bardzo delikatnie przyciągnął ją do siebie.

Nie opierała się, ale nie mogła powstrzymać się od mruknięcia:

- Myślałam, że masz do mnie zaufanie.

- Bo mam.

- To uwierz mi, że wiem, jak należy się zachowywać, kiedy ktoś mnie całuje, Riley.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Ale niektórych rzeczy wolałbym się dowiedzieć osobiście: na przykład, czy lubisz być całowana w kark, czy też walisz w łeb każdego, kto próbuje.

Jego wargi były ciepłe i delikatne. Przesunęły się powoli przez policzek aż do skroni.

- To nie jest kark - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał stanowczo.

- Jeszcze do niego dojdziemy - szepnął chrapliwie.

- Chyba Ida spodziewa się, że będę to wiedział.

- Ida pewnie uważa, że wiesz już o mnie niemal wszystko - powiedziała żartobliwie. - Te twoje wyjazdy do Chicago...

Jego usta powędrowały ku zagłębieniu nad obojczykiem. Odchyliła głowę na oparcie kanapy. Po długiej chwili Riley podniósł wzrok.

- Czy to znaczy, że Ida nie spodziewa się twojego powrotu dziś wieczorem?

- No, nie dała mi klucza. - Debora z trudem otworzyła oczy. - Ale nie sądz, że tu zostanę.

- Oczywiście, że nie - powiedział cicho. - Nikt cię nie zapraszał.

Nie miała nic przeciwko temu, żeby całowano ją w kark. Ani delikatnie przygryzano ucho. Zdecydowanie podobał jej się dotyk jego długich rzęs, które czuła na policzku, gdy przesuwiał wargami wzdłuż jej podbródka.

- Masz rację - powiedział w końcu, wstając.

- W czym? - spytała słabym głosem.

- Wiesz, jak się zachowywać, kiedy ktoś cię całuje.

R. Bristol Piąty powinien otworzyć szkołę. Chyba do niego zadzwonię i zaproponuję mu to.

- Najwyższy czas, żebym pojechała do domu ■-
powiedziała zdecydowanie.

- Zanim wpadniesz w kłopoty?

- Nie. Zanim wszyscy w Lassiter House pójda spać.

Nie chciałam wyciągać Henry'ego z łóżka.

Wiesz, ile by było gadania na ten temat? Pomyślała, że plecie bzdury, ale ciągnęła dalej: - Idzie i tak się wydaje, że przyjechałam do Summerset tylko po to, żeby narobić kłopotów. A jeśli to Preston otworzy drzwi...

- Zauważyłem, że nie mógł ci się oprzeć.
- Gdybyś mi więcej o nim powiedział, nie wciągałabym cię w tę całą historię. Po prostu zajęłabym się właśnie nim.

- Ciekawe, czy wybrałby naciągnięcie Idy na pieniądze, czy ożenek z tobą z tych samych powodów?

Debora wstała i wygładziła spódniczkę.

- Skąd wiesz, że chodziłoby mu tylko o pieniądze?

- Debbie, kochanie, naprawdę uważasz, że mogłoby go interesować coś innego?

Uśmiechnęła się słodko.

- Może jemu też spodobałyby się moje pocałunki!

Jaguar stał w cieniu z tyłu budynku, niemal niewidoczny. Wyciągnęła rękę po kluczyki, ale Riley otworzył jej drzwi po stronie pasażera. Debora nie cofnęła ręki.

- Sama mogę pojechać do domu.

- Ale to nie byłoby elegancko z mojej strony, nie sądzisz?

Zrezygnowała z dalszej dyskusji i wsiadła do samochodu.

- To nie moja sprawa, jeśli chcesz mieć kłopoty - powiedziała. - Ale samochód zostanie w Lassiter House, więc będziesz musiał wrócić do domu na piechotę.

Spojrzał na księżyc, rozjaśniający letnie niebo.

- Piękna noc na spacer - zamruczał. - Księżyc, obłoki, lekki wietrzyk i wspomnienie dziewczyny, którą kocham.

- Tylko jednej? Zdumiewasz mnie, Riley.

- No, jednej na raz - poprawił się z uśmiechem.
- Powinieneś właściwie opowiedzieć mi o kilku ostatnich. Na przykład o hostessie z restauracji. I kelnerce.

- Ruth? - W jego głosie brzmiało prawdziwe zdumienie. - Chyba żartujesz!

To ciekawe, jak ślepi potrafią być czasami mężczyźni, pomyślała Debora.

- A zauważyłeś, że Preston Powell uznał ją za interesującą?

- Nie - odrzekł Riley powoli.

- Uważaj, Riley, bo odbierze ci jej uczucia.

- A cóż to za zmartwienie? - powiedział lekko. - Mam przecież ciebie!

Postanowiła przestać mu dokuczać, bo i tak potrafił zawsze obrócić żart przeciw niej.

- A skoro mówimy o rzeczach, które powinniśmy o sobie wiedzieć...

- Tak, kochanie? - ponaglił ją, gdy przerwała.

- Ten pierścionek - powiedziała. - Zapewne powinienam wiedzieć, skąd pochodzi, ale nie mam pojęcia.

- Właściwie nie ma powodu, żebyś miała go rozpoznać. Należał do mojej babci, ale prawie nigdy go nie nosiła. Na farmie zawsze było wiele pracy, a ona bała się go zgubić.

- A więc drobna, stara kobieta nosiła go tylko w niedzielę do kościoła.

- Mniej więcej. W środku są wyryte jej inicjały i inicjały mojego dziadka, oraz jakaś odpowiednio sentymentalna sentencja. Czy pasuje?

- Jest trochę ciasny, ale wytrzymam przez kilka dni.

- Mogę dać go powiększyć.

- Ach, nie. W ten sposób go nie zgubię.

- Jak chcesz - Riley wzruszył ramionami.

- Poza tym nie chciałabym go uszkodzić. - Wyciągnęła dłoń. To był taki mały kamień, w cienkiej, taniej

obrączce. A jednak dla babci Riley'a miał najwyraźniej wielką wartość, skoro chroniła go, pilnowała i dała jednemu wnukowi dla przyszłej żony. Debora była nieco zaskoczona, że Riley jej go powierzył, ale potem zdała sobie sprawę, że nie mógł zrobić nic innego, jeśli nie chciał wywoływać rodzinnych plotek.

- Będę go dobrze pilnować, Riley - powiedziała cicho.

Odprowadził ją do drzwi Lassiter House.

- To na wypadek, gdyby ktoś nas obserwował - zamruczał i pocałował ją na dobranoc, lekko i z uczuciem. Po wspinaczkę na szczyt wzgórza Debora nie mogła złapać tchu, więc nie zaprotestowała.

Dopiero w swoim pokoju, leżąc już w łóżku, zdała sobie sprawę, że wciąż nie mają żadnego planu, jak powstrzymać Prestona Powella.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Poranne słońce, wlewające się przez okna pokoju gościnnego, nigdy nie przeszkadzało Deborze, gdy była dzieckiem. Ale wtedy, pomyślała, naciągając koc na głowę, ciotka Ida zawsze posyłała mnie do łóżka zaraz po kolacji, więc rano byłam wyspana.

Pod kocem było duszno, a poza tym i tak już nie mogła zasnąć. Włożyła więc szorty i koszulkę w paski, po czym wyruszyła do kuchni poprosić Henry'ego o filiżankę kawy.

- Ta *tutaj pozostała ze śniadania, panno* Deboro - ostrzegł ją. - Proszę chwilę poczekać, to zaparzę świeżą.

- Ta mi wystarczy, dzięki. - Debora nalała sobie kawy. - O której było śniadanie? - spytała niepewnie.

- Jakieś dwie godziny temu. Panna Ida jest w ogrodzie, a pan Powell wyszedł grać w golfa.

Czy ten facet nic innego nie robi? - pomyślała niechętnie. Potem przypomniała sobie, że jest sobota i wielu potencjalnych klientów Prestona będzie w klubie. Nie może więc sobie pozwolić na przegapienie takiej okazji. Przyciągnęła krzesło do ciężkiego stołu.

- Od kiedy Preston Powell tu mieszka, Henry?

- Od jakichś trzech tygodni.

- I w ciągu trzech tygodni przygotował cały plan? Chodzi mi o Paradise Valley.

- Ach, nie. Tym się zajmuje od kilku miesięcy. Myślałem, że pyta pani o to, jak długo mieszka w Lassiter House.

- I Ida tak długo z nim wytrzymała? Chyba tobie nie podoba się on bardziej niż mnie, co, Henry?

- To nie moja sprawa - odrzekł Henry surowo, zamykając zmywarę do naczyń i wycierając starannie ręce. - Proszę mi wybaczyć, muszę odebrać telefon.

- Nie przejmuj się, ja to zrobię. - Przebiegła przez spiżarnię do bocznego holu. W czasach Jacoba Lassitera telefon był luksusem i zainstalowanie więcej niż jednego aparatu wywołałoby skandal. A co wystarczyło Jacobowi, musiało wystarczać jego rodzinie. Ida założyła drugi aparat w swojej sypialni dopiero wtedy, gdy pewnej zimy upadła, złamała nogę i przez kilka tygodni była skazana na leżenie w łóżku.

- Cześć, kochanie. - Głos Williama Ainsleya brzmiał bardzo radośnie. - Chyba mam dobre wieści.

- Cześć, tatusiu! - zawołała Debora.

- Znalazłem kopię dokumentu założenia funduszu. Czy mam ci wysłać... Och, kochanie, zapomniałem spytać, czy możesz rozmawiać? Jeśli ktoś podsłuchuje, po prostu powiedz „banan”, a ja zrozumie.

Debora roześmiała się, ale spojrzała przez ramię.

- Tatusiu, to nie jest spis CIA. Oczywiście, że mogę rozmawiać.

- To dobrze. Nie zapomniałem, jak to jest w domu Idy. Kiedy tam byłem, próbowałem raz czy dwa zadzwonić do mojego maklera, a ona zawsze wtedy przechodziła przez hol. Chyba myślała, że stawiam zakłady u bukmachera czy umawiam się z jakąś panią...

- Czy mógłbyś teraz z grubsza podać mi najważniejsze punkty tego dokumentu?

- Chwileczkę. - Oczyma duszy zobaczyła, jak poprawia na nosie okulary. - Kuratorami funduszu było troje dzieci Jacoba: Ralph, Ida i twoja babcia. Teraz została tylko Ida. Riley miał rację - ona ma całą władzę. Po jej śmierci kontrola nad funduszem ma być sprawowana łącznie przez bank Jacoba i starszego wspólnika w firmie jego doradców prawnych.

- I oczywiście od nich nie uda się uzyskać żadnej informacji - jęknęła Debora. Nie mówiąc już o nakłonieniu do udziału w akcji przeciw Idzie.

- Chyba nie.

- Czekaj. Co to znaczy „starszy wspólnik w firmie jego doradców prawnych”? Ten, który zajmował się jego interesami? Jeśli był w wieku Jacoba, musi teraz mieć co najmniej sto lat.

- To nie jest zbyt jasne, ale sądzę, że chodzi o tego, który jest starszym wspólnikiem w tym momencie. Kancelarie prawnicze mają zwykle długi żywot, po prostu zmienia się w nich tylko personel.

- Szkoda, że Riley nie skończył studiów prawnych. Sam mógłby toczyć tę wojnę.

- W tamtych czasach firma nazywała się Bowers i Milligan.

Debora szybko przekartkowała książkę telefoniczną Summerset.

- Nie ma teraz żadnego Bowersa w Summerset - stwierdziła. - Ani żadnego Milligana.

- No cóż, wyślę ci ten dokument. Może ty i Riley doczytacie się w nim czegoś, co mnie umknęło. Powodzenia, kochanie.

- Tatusiu, lepiej wyślij na adres Rileya. Nie chciałabym, żeby ktoś omyłkowo otworzył kopertę w Lassiter House.

- A więc ktoś już coś węszy, tak? - spytał William z satysfakcją w głosie. - A skoro już mówimy o intrygach, to wpadłem wczoraj do galerii, żeby zobaczyć, co się tam dzieje, gdy ciebie nie ma.

- Nie było mnie zaledwie od kilku godzin - powiedziała Debora oschle. - Cóż takiego mogło się stać?

- Nigdy nie wiadomo. Ta twoja asystentka - Peggy, tak się nazywa? Jest bardzo dobra, Deboro.

- Tatusiu... Czy to znaczy, że Peggy coś ci sprzedała?

- Tylko małą akwarelkę.

- To wszystko? Ty zdrajco!
- No, gdybym czekał na twój powrót, ktoś inny mógłby ją kupić - powiedział rozsądnie William.
- Zadzwoń do ciebie później. Czy nie powinniśmy umówić się na telefon o stałych godzinach, żebym mógł zawiadomić władze, jeśli się nie odezwiesz?

Ida przycinała stare krzaki pnących róż, dokładnie pokrywające całe ściany patio. Deborze przemknęło przez głowę, że Alec musi być mocno podrapany po swoich wyprawach do zakazanego basenu.

- Dzień dobry, ciociu - zawołała, stając w szeroko otwartych drzwiach balkonowych. - Mogę pomóc?
- Przycinanie starych krzewów wymaga doświadczenia. - Ida potrząsnęła głową.
- Mogłabym się nauczyć.
- Nie mów mi, że już się nudzisz w Sumrnerset
- powiedziana Zda, rzucając spojrzenie spoci *oka*.
- Nie, skąd. Tylko akurat nie mam nic do roboty.
- Riley nie chciał cię zatrudnić? Dziwię mij się. Przepuszczać taką szansę na darmowego pracownika!

Debora usiadła na kamiennej ławeczce.

- To pewnie przyjdzie później. Zresztą ma po mnie za chwilę przyjechać. Chcemy spędzić dzień na farmie.
 - Tak sądziłam. To dobrze, że może robić sobie wolne, gdy tylko chce. Ja bym się bała zostawiać wszystko w rękach najemnych pracowników.
 - Ciociu, nikt nie powinien pracować cały czas. A skoro ludzie, których zatrudnia, są dobrzy...
 - Debora podciągnęła kolana, obejmując je ramionami. Dodała z rozmysłem: - Sądziłam, że lubisz Riley'a.
 - A kto mówi, że nie?
 - Wczoraj nie wyglądałaś na zachwyconą.
 - Rileyem?
 - Naszymi planami.
- Ida odwróciła się w jej stronę, ale Debora nie

mogła wyczytać z jej oczu niczego poza szczerym zdumieniem.

- Mówisz, jakbyś czuła się winna, Deboro. Ciekawe dlaczego. Czy jest jakiś powód, dla którego miałabym nie akceptować waszych planów?

I tyle wyszło z bezpośredniego ataku, pomyślała Debora. Wzruszyła ramionami.

- Nie ma żadnego powodu. Po prostu odniosłam takie wrażenie. No, Riley jest dosyć... niezwykły. - Pogratulowała sobie w duchu. Takie niedomówienie brzmi znakomicie w ustach zakochanej kobiety.

- Tak - odrzekła Ida z namysłem. - Muszę przyznać, że byłam zaskoczona.

- Myślałam, że nie podoba ci się pomysł, że będę mieszkać w magazynie, czy coś takiego.

- To zaadaptowany magazyn. I co mnie właściwie orjcfiofzr, gcfzie *mieszkaś*? *Niech tyko nie przychodzi* ci do głowy zamieszkanie tutaj.

Deborę przeszedł dreszcz na samą myśl o spędzeniu miodowego miesiąca w Lassiter House. Pomysł dzielenia przez nowożeńców domu z ciotką Idą był koszmarny.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy - powiedziała Szczerze.

- To dobrze. Wiesz, wystawiam dom na sprzedaż.

- Lassiter House? - wyjąkała Debora.

- Jest zbyt duży - kontynuowała Ida - a Henry jest już za stary, żeby dawać sobie ze wszystkim radę.

- Mogłabyś zatrudnić jeszcze jedną osobę.

Ida zdecydowanie pokręciła głową.

- To by było wyrzucanie pieniędzy. Zamierzam zbudować sobie niewielki domek w kurorcie Prestona. Wybrałam już nawet miejsce.

Niepokój Debory nieco zelżał. Ida ma przynajmniej tyle rozsądku, by poczekać ze sprzedażą domu, zanim wpakuje się w coś nowego. A sprzedawanie tego

budyniszcza może trwać miesiące, lata, albo całą wieczność. Kto byłby na tyle szalony, żeby kupić Lassiter House?

To dinozaur, a nie dom, pomyślała. Przez czterdzieści lat, od śmierci Jacoba, nic się tu nie zmieniło. Wciąż nie ma klimatyzacji, kanalizacja zaczyna nawalać, a kuchnia wygląda, jakby ją przeniesiono wprost z „Wichrowych Wzgórz”.

- Masz rację, ciociu - powiedziała znacznie spokojniej. - W małym domu będzie ci łatwiej.

Ida parsknęła z wyższością.

- Ja dam sobie radę, z czym tylko zechcę. Ale martwię się o Henry'ego. Poza tym uważam, że powinnam mieć na oku moją inwestycję.

Debora przełknęła ślinę, przekonując się w myśli, że dyskusja z ciotką na temat Paradise Valley mija się z celem. W każdym razie w tej chwili. Ida przyglądała jej się z ciekawością.

- Nie aprobujesz planów budowy kurortu, prawda? - spytała.

- To nie moja sprawa - odrzekła Debora. - Jestem pewna, że bardzo dokładnie sprawdzisz wszystko, zanim zdecydujesz się na jakąkolwiek większą inwestycję. Zwłaszcza że chodzi o pieniądze z funduszu, a dobrze wiesz, jak bardzo twemu ojcu zależało na utrzymaniu majątku.

- A także ze względu na zbliżający się ślub i związane z tym wydatki? - spytała Ida spokojnie.

- Nic takiego nie powiedziałam. Ale skoro jesteśmy przy tym temacie, może mi powiesz, co powinnam wiedzieć, zanim zacznę robić jakieś plany.

- Chodzi ci o to, czy są jakieś ograniczenia, rzeczy, których nie wolno ci kupować i tak dalej? Nie, nie ma - właściwie nie. Czasami wydaje mi się, że mój ojciec był pozbawiony zdrowego rozsądku.

- Co oznacza „właściwie nie”? - spytała podejrzliwie.

- Muszę zaakceptować wszystkie rachunki - odrzekła łagodnie Ida uśmiechając się.

- Niewątpliwie będziesz je bardzo dokładnie sprawdzać - powiedziała Debora spokojnie. Dzięki Bogu, że do tego nie dojdzie, pomyślała.

- Twoja matka miała skromny, ale bardzo ładny ślub - ciągnęła Ida. - Oczywiście, wuj Ralph musiał się wtrącać.

Co pewnie oznacza, pomyślała Debora, że stał po Stronie mamy przeciwko Idzie.

- Więc kłóciliśmy się o każdą drobnostkę - wspominała. - Tym razem będzie łatwiej. Wiesz, że jego zdaniem orchidee nie były konieczne? Twoja biedna inatka musiała zadowolić się różami. I szkoda, że nie słyszałaś, jak upierał się na temat szampana. Uważał, że wcale nie musi być francuski, a nawet, że w ogóle mogliśmy się obejść bez niego!

Debora niepewnie wyciągnęła rękę, opierając się o nagrzany ceglany mur. Nie upadła i nie uderzyła głową o kamienną podłogę, choć przez chwilę wydawało jej się, że tylko to może wyjaśnić słowa, które docierały do niej. To niewątpliwie był głos Idy, mówiącej o tacie i brukselskich koronkach, i o śniadaniu weselnym, które przypominało ucztę bogów...

Zwariowała, pomyślała oszołomiona Debora. Wczoraj krzywiła się na samo imię Rileya. A dzisiaj...!

- Ciociu - powiedziała z trudem.

Ida spojrzała na Debore.

- Nikt ci nie mówił? - spytała. - To z mojej strony pewnie głupie i sentymentalne, ale zawsze uwielbiałam śluby. Cieszę się, że planujecie ślub w Summerset -~ ciągnęła Ida. - W ten sposób będę mogła naprawdę włączyć się do przygotowań. Zorganizuję ci ślub, którego nikt nie zapomni do końca życia. Ach, to mi

przypomina, że musimy jutro porozmawiać z pastorem Adamsem i zarezerwować kościół. Zadzwoń do niego i umówię się na jutro, po porannej mszy.

Przez chwilę Debora nie mogła znaleźć słów. Rozpromieniona Ida w dalszym ciągu mruczała pod nosem o przewadze limuzyn nad powozami zaprzęzonymi w konie, o białych tortach, czekoladowych, owocowych tortach i wielopiętrowych kombinacjach wszystkich rodzajów, o wyższości satynowych wstążek nad kwiatami do przytrzymywania welonu...

- Będiesz miała welon, Deboro, prawda? - spytała nagle z niepokojem. - Bez welonu to nie jest prawdziwy ślub, ale... Wciąż możesz założyć welon, co?

Debora, która właśnie odchrząknęła, by przerwać Idzie, znowu zaniemówiła. Ciotka, która z takim spokojem zapytuje, czy Debora jest wciąż dziewicą, a zatem ma prawo do symbolicznego welonu...

Niski głos za jej plecami powiedział:

- Oczywiście, że będzie miała welon. Debbie w welonie śni mi się po nocach. - Riley objął ją i uniósł lekko z ławki, a Debora pisnęła cicho.

Lekko nieprzytomny wyraz twarzy Idy zmienił się w prawdziwe rozbawienie.

- Szczęśliwa z ciebie dziewczyna, kochanie - za mruczała.

Riley postawił Deborę z powrotem na ziemi, wciąż przytulając do siebie, i pocałował tuż za uchem.

- Rzeczywiście - szepnął. - Masz szczęście, że przyszedłem w porę, by przerwać takie pytania.

- Bawcie się dobrze na farmie, dzieci - powiedziała Ida, królewskim gestem pozwalając im odejść. - Czy twoja matka wciąż jest taka uparta w sprawie Prestona, Riley?

- Nie ująłbym tego w ten sposób. - Riley usiłował nie udzielać bezpośredniej odpowiedzi.

- Pewnie nie. Ty sam przegapiasz wspaniałą okazję.

Naprawdę powinieneś zainwestować na przyszłość. Preston z pewnością chętnie porozmawia z tobą o wszelkich możliwościach.

- Z pewnością - zgodził się Riley. - Niestety, póki nie ożenię się z posażną narzeczoną, nie mam czego inwestować. - Uśmiechnął się ciepło do Debory.

Ida roześmiała się. Zabrzmiało to niemal jak panieński chichot.

Zeszli już do połowy wzgórza, gdy Riley zapytał niedbale:

- A swoją drogą, możesz założyć welon?

- A cóż cię to może obchodzić? - Głos Debory był lodowaty.

- Zwykła ciekawość - odrzekł wesoło. - I trochę amunicji na naszą następną potyczkę na temat ślubnych planów. Nie możesz mieć dziesięciu drухen, skoro sama nie występujesz w tradycyjnym stroju. Symbol niewinności, czystości i tak dalej.

- Ty wścibski facecie! - Chciała go kopnąć. - Nie ośmielisz się poruszać tego tematu w publicznej kłótni!

- Pewnie tylko w tej końcowej i ostatecznej.

- No, jeśli nie będziesz uważał na swoje słowa, to nie będzie końcowej i ostatecznej kłótni, bo na długo przedtem wszystko zepsujesz. Przecież właściwie powiedziałeś Idzie, że żenisz się ze mną dla pieniędzy. Dopraszasz się kłopotów, Riley?

- Wszystkie alianse dynastyczne dotyczą pieniędzy - powiedział. - A Ida i tak mi nie uwierzyła.

- Tak uważasz?

- Tak uważam. I miała rację, bo nie ma na świecie takich pieniędzy, dla których bym się z tobą ożenił.

Gniew Debory nagle znikł jak przekłuty balonik. Przez chwilę myślała o powrocie do domu, ale czekałaby ją wspinaczka na wzgórzu i ciotka Ida, która pewnie już pisze ślubne zaproszenia. Z dwojga złego wolała być z Rileyem.

- Dlaczego włożyłaś różowe szorty? - spytał, jakby dopiero teraz je zauważył. - Zapomniałaś, że jedziemy na farmę?

- Dzięki za troskę, ale wyrosłam już z taplania się w kałużach - odparła. - Jeżeli nie zapędzisz mnie do zbierania siana, nie powinnam mieć kłopotów z utrzymaniem czystości.

- Już nie ma siana. Tylko cukinie, ogórki, pon'idory, brukselka, i... - przerwał. Przejeżdżali przez śródmieście. - Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym kogoś zabrał?

- Ty tu rządzisz. - Debora wzruszyła ramionami.

- On nie ma zbyt wielu okazji do wyjazdów na wieś, a jego matka dziś pracuje.

Dziecko, i to najwyraźniej nie dziecko Mary Beth. Głupio z twojej strony, pomyślała, że natychmiast przyszła ci do głowy kobieta.

Była jednak zaskoczona, gdy zatrzymali się przed domkiem na obrzeżach dzielnicy handlowej, a mały chłopiec puścił się pędem w ich kierunku przez trawnik.

- To dziecko Ruth - powiedział Riley, jakby się bronił. - I nie patrz na mnie w ten, a-nie-mówiłam, sposób. Mały jest moim przyjacielem, jego matka ciężko pracuje i jest im bardzo trudno...

- A ty tylko starasz się pomóc - dokończyła za niego Debora. - Dobrze chęci wpędziły w kłopoty już wielu ludzi. Cześć, Alec.

Oczy chłopca zaokrągliły się ze zdumienia.

- To pani jest dziewczyną Riley'a?

- Powiniennem był wiedzieć, że wy dwoje musieliście się już spiknąć. Mogę spytać, gdzie?

- Nie możesz - ucięła Debora.

Nie trzeba było namawiać Aleca, by z nimi pojechał, ale przekonanie go, że powinien zostawić matce kartkę z wiadomością, gdzie jest, wymagało rozkazu Kileya. Chłopiec wdrapał się na tylne siedzenie samochodu,

wsunął głowę między nich ponad oparciem i rozpoczął monolog, który trwał aż do wyjazdu z miasta.

- Przejedźmy przez Paradise Valley. - Debora przerwała w końcu potok słów Aleca.

- Po co?

- Jak mam być detektywem bez obejrzenia miejsca przestępstwa? Riley, czy ty kiedykolwiek czytujesz kryminały?

- Przestępstwa? - wtrącił się Alec. - Takiego jak morderstwo?

- O rany - mruknął Riley. - Debora mówiła w przenośni. To znaczy zmyślała.

Chłopiec wyglądał na rozczarowanego.

- To zajmie tylko minutkę - przekonywała.

Riley potrząsnął głową.

- *Musimy się wtemać. Śhski wąż ogrodzi} teren i postawił bramę, żeby nikt nie mógł tam wjechać.*

- Ciekawe, po co.

- Rusz głową, Deb - odpowiedział z irytacją.

- Nie chce, żeby odwiedzający włączyli się tam i Wsadzali nos w jego sprawy. Oczywiście on mówi co innego, twierdzi, że chodzi o ubezpieczenie. Teraz, kiedy jest odpowiedzialny za to miejsce, nie chce, żeby ktoś się tam utopił bez jego pozwolenia. Czujesz się na siłach, żeby pójść na spacer?

Debora podniosła nogę, obutą w solidne adidas.

- Mówisz do kogoś, kto przemierza codziennie długie kilometry po betonie.

- To nie to samo. - Riley spojrział na zegarek.

- Możemy przyjechać tu później, po południu. To zajmie trochę czasu.

- Ja też chcę zobaczyć - wtrącił Alec z tylnego siedzenia. - Mama i ja wzbogacimy się na Paradise Valley, wiecie?

Spojrzenia Debory i Riley'a skrzyżowały się.

- Naprawdę, Alec? To ciekawe.

- No, tak - wyjaśnił. - Powiedziała mi, że to lepiej, niż trzymać pieniądze w banku. Te z ubezpieczenia taty - dodał niepotrzebnie.

Debora zamknęła oczy, z bólem przypominając sobie szczupłą, zmęczoną twarz Ruth - i sposób, w jaki Preston Powell flirtował z nią poprzedniego wieczoru.

- Wdowy i dzieci - powiedziała cichutko. - Czy ten człowiek nie ma w ogóle sumienia?

Nie było już wątpliwości, czy zatrzymają się w Paradise Valley.

Paradise Valley leżała kilka kilometrów na zachód od miasta, w naturalnym zagłębieniu. Miejskowa legenda mówiła, że jezioro Paradise, przez które przepływała rzeka Summer, powstało na skutek działalności bobrów, na długo przed pojawieniem się pierwszych osadników. Z czasem rzekę przegrodzono dużą zaporą, a jezioro stało się centrum planowanego rajy dla wczasowiczów.

Tylko że tutaj, tak jak i w prawdziwym rajy, nie było ludzi.

Riley ukrył samochód. Przeleźli wszyscy przez zarośnięty rów, przecisnęli się między drutami kolczastymi, z których zbudowano płot - i znaleźli się wewnątrz.

Skorupa budynku w pobliżu wejścia, stróżówka z zapadniętym dachem, wiele wijących się, prowadzących donikąd wstążek asfaltu i stacja benzynowa, której pompy wykazywały cenę benzyny sprzed dziesięciu lat - to było wszystko, co pozostało z pierwszej próby zbudowania tu kurortu.

- Wygląda jak obóz koncentracyjny - mruknęła Debora.

Jednak gdy oddalili się od bramy, to wrażenie ■nikło. Cały teren wyglądał na zaniedbany, jakby

wymagał starannego wysprzątania. Pierwotny plan był jednak nadal czytelny.

- Nawierzchnia uliczek wygląda całkiem porządnie - powiedziała Debora, usiłując dostrzec i dobre strony.

- Owszem. Ale nie gwarantowałbym stanu biegnących pod nimi rur kanalizacyjnych, wodociągowych i gazowych.

- O tym nie pomyślałam. - Kopnęła krawężnik, niewidoczny spod chwastów. Miała ochotę je wyrwać.

- Mógł przynajmniej wynająć kogoś, kto oczyściłby trochę to miejsce.

- Zrobił to, kiedy przyjechał do miasta - powiedział Riley. - Gdyby miał poważne zamiary, robiłby to dalej.

- W każdym razie rozumiem, dlaczego Preston chce oprowadzać gości osobiście. Żeby mógł wszystko wyjaśniać i nie dopuszczać do zadawania zbyt wielu pytań.

- I dobrze sobie z tym radzi. Według planów ma tam powstać hotel na pięćset miejsc. - Riley machnął ręką, wskazując kierunek.

Debora gwizdnęła cicho.

- A tutaj będzie trzysta domków letniskowych. Mówię „domków letniskowych”, ale jednym z warunków sprzedaży działki jest podanie minimalnego kosztu domu, który na niej stanie.

- A dolna granica jest zapewne dość wysoka?

- zgadła Debora.

- W porównaniu z Chicago - biorąc pod uwagę, ile musiałaś zapłacić za swoje mieszkanie - pewnie uznasz, że nie. Ale w Summerset w zeszłym roku sprzedano zaledwie kilka domów w tej cenie.

- A on sądzi, że ludzie zbudują tu trzysta takich?

- spytała Debora z namysłem. - Ciekawe, gdzie jest działka ciotki Idy?

- A ma taką?

- Myślałam, że wiesz wszystko - powiedziała słodko.

- Nie dotarły do ciebie plotki, że sprzedaje Lassiter House?

- Żartujesz?!

- Nie, nie żartuję. Ale zgadzam się, że trudno wyobrazić sobie ciotkę bez Lassiter House. To jak lody bez bitej śmietany.

- Albo Flip bez Flapa - przytaknął Riley.

- Śledzie bez cebulki.

- Polityka bez korupcji.

- Hej, Riley, nie gramy w nową grę - zmarszczyła brwi Debora.

Alec zbiegł po długim zboczach do jeziora.

- Lepiej chodźmy za nim - powiedział Riley.

- Kiedy ten chłopak jest w pobliżu wody, wszystko może się zdarzyć - rzuciła mimochodem. - Aż boję się zapytać... Czy to wciąż jest prawdziwe jezioro? Czy też zmieniło się w wielką zamuloną kałużę?

- Kiedy byłem tu ostatnio, wciąż można było w nim pływać. Ale plaże...

Ze szczytu wzgórza jezioro Paradise wciąż kusilo błękitem wody, tak jak zapamiętała to Debora. Jednak gdy podeszli bliżej, zrozumiała, co oznaczało nie dokończone zdanie Rileya. Piaszczyste plaże w niczym nie przypominały dawnej świetności. Jedną zarosły wysokie po kolana chwasty, inną niemal całkowicie splukały deszcze.

Alec stał wśród chwastów z żalosną miną. Debora mogła odczytać jego rozczarowanie ze sposobu, w jaki opuścił ramiona. Bardzo chciała go objąć, uspokoić i zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Ale nie mogła tego zrobić, bo bardzo się bała, że wcale nie będzie dobrze. Ani dla Aleca, ani dla Ruth, ani dla nikogo z mieszkańców Summerset, którzy powierzyli swoją przyszłość takiemu człowiekowi jak Preston Powell.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Debora nie mogła się zdecydować, czy rozplakać się, czy wrócić do Summerset i zamordować Prestona Powella. Na razie rozładowała frustrację, wyrwijąc rosnące wokół chwasty.

- Tę plażę trzeba będzie zrobić od nowa - powiedział zamyślony Riley.

- Wszystko tu trzeba zrobić od nowa - mruknęła Debora. - Gdyby ktoś poważnie myślał o budowie kurortu, taniej by mu wyszło zacząć od zera w innym *miejscu*.

- Nie jest tak źle. Nie ma sensu rezygnować ze wszystkich kosztownych, podstawowych prac, które wykonano - ulic, przyłączy, pomiarów geodezyjnych. Taniej będzie zrobić nawet bardzo dużo napraw, niż zaczynać od początku. Na przykład pole golfowe. - Machnął ręką w kierunku łagodnego pagórka po drugiej stronie jeziora. - Oczywiście doprowadzenie go do stanu używalności będzie pracochłonne, ale tańsze niż przygotowywanie od początku.

- Wszystko tak zarosło. - Debora przedzierała się przez krzewy w drodze powrotnej do samochodu. - To niesamowite - powiedziała. - Rozmiary tego przedsięwzięcia. W tym nie ma logiki ani sensu.

- Skoro i tak Preston Powell nie ma zamiaru niczego budować, może sobie pozwolić na wielkie plany. - Riley wzruszył ramionami. - Rysowanie na papierze jest tanie.

- Ale czemu wszyscy dają się na to nabrać? Jak

można patrzeć na ten bałagan i wierzyć, że coś z tego wyjdzie?

- Czy włożyłabyś oszczędności twego życia w hotel z dziesięcioma pokojami? Czy hotel na pięćset miejsc nie brzmi bardziej pewnie i bezpiecznie?

- Żadna z tych propozycji mnie specjalnie nie nęci - powiedziała szczerze. - Nie lubię podejmować ryzyka finansowego.

- Ty nie lubisz?! - parsknął Riley. - A otwarcie galerii sztuki w mieście, w którym jest ich już setka, to nie ryzyko?

- To co innego - wyjaśniła. - Nie inwestuję pieniędzy w płótna starych mistrzów. Kupuję rzeczy, na których się znam, w które wierzę, a poza tym wiem, kiedy poprosić o radę. No i nie ryzykuję pieniędzy, które mam na życie - dodała ponuro.

- Chociaż, jeśli Ida zrobi to, co chce, będę musiała.

Riley rzucił jej przenikliwe spojrzenie, ale nie odezwał się.

- Myślałem, że będzie tu pomost. I teren zabaw. Na obrazkach był teren zabaw - powiedział płaczliwym głosem Alec, dołączając do nich.

Debora nie widziała folderów kurortu, ale nietrudno było domyślić się, o co chodziło Alecowi. Była ciekawa, czy jego matka zainwestowała pieniądze tylko na podstawie obrazków w folderach, czy też wiedziała o Paradise Valley więcej niż jej syn.

Debora dobrze pamiętała, jak dojeżdżało się do farmy Anny Marii Lassiter - długą, wijącą się dróżką, która prowadziła w dół łagodnego zbocza, do budynków wzniesionych w pewnej odległości od drogi. Choć wiedziała, że na farmie nie uprawia się już zboża, przywołała na pamięć obraz wielkiego białego domu otoczonego polami kukurydzy. Dlatego też widok prostokątów dobrze utrzymanych upraw wa-

rzywnych, rozciągających się aż po horyzont, był dla niej prawdziwym szokiem.

Podwórze wydawało się pełne ludzi. Para jasnowłosych dzieci rzuciła się biegiem do samochodu. Jedno z nich, dziewczynka, która akurat straciła przednie zęby, wrzeszczała:

- Wujek Riley!

Dzieci Mary Beth, pomyślała Debora. Chłopiec musi być jej synem. Nie zdawałam sobie sprawy, jakie są duże. I nie pamiętam nawet ich imion.

Patrzyła akurat na dziewczynkę, gdy ta dostrzegła Aleca. W szeroko otwartych błękitnych oczach malowało się obrzydzenie. Mała rzuciła Rileyowi miażdżące spojrzenie, które mówiło: jak mogłeś mi to zrobić?! Debora przygryzła wargę, by się nie roześmiać. Ileż wspomnień to przywoływało! Na pewno, gdy *miała siedem lat, widok Rileya wywoływał na jej twarzy taką samą minę.*

Wydawało się, że Alec zapomniał już o rozczarowaniu w Paradise Valley.

- Zach! - krzyknął z radością. Chłopcy natychmiast ruszyli zgodnie w stronę stodoły.

- Jak się czuje moja mała Robin? - Riley podniósł do góry dziewczynkę.

- Po co przywiozłeś Aleca? - spytała.

- Jesteś taka sama jak twoja matka, co? Wprost do celu i bez ogródek. Powinnaś się cieszyć, że Alec zabrał Zacha i żaden z nich nie będzie ci dokuczać.

- Czyżbyś coś o mnie mówił, Riley? Cześć, Deboro, witaj w domu. - Mary Beth wyplątała się z jeszcze jednego jasnowłosego dziecka, usiłującego wdrapać się na nią, i wyciągnęła rękę.

Riley miał rację, pomyślała Debora. Mary Beth nie była już tą szczupłą pięknoscią, którą zapamiętała. Teraz wyglądała jak matrona. W białej spódnicy

i czerwonej bluzce robiła wrażenie zamożnej, zadbanej i zadowolonej kobiety.

- Gdzie byliście? - spytała. - To okropny zwyczaj, Riley, zawsze się spóźniać. Pewnie już odkryłaś, Deboro, że zawsze coś go zatrzymuje. Powinnaś chyba podać mu wcześniejszą godzinę ślubu.

Riley uśmiechnął się szeroko.

- Ależ Debbie będzie na mnie czekać nawet całą wieczność, prawda, kochanie?

- Z przyjemnością - odparła, myśląc w duchu, że im dłużej, tym lepiej. Przypomniało jej to, że nie zapoznała jeszcze Riley'a z entuzjastycznymi pomysłami ciotki Idy. I nie spytała o tę firmę prawniczą.

Teraz nie było na to czasu. Anna Maria przygotowała piknik na trawniku przed domem i zaprosiła chyba całą okolicę. Deborze nie udało się nic zjeść z powodu nie kończącej się procesji składających życzenia ludzi.

Słyszała jednak, jak właściciel pobliskiej farmy spytał Annę Marię, czy długo ma zamiar opierać się sprzedaży ziemi i czy to w porządku wobec sąsiadów, żeby starać się dostać więcej niż oni. A w chwili później włączyła się Mary Beth:

- Mamo, dlaczego nie sprzedasz? Rod i ja uważamy, że głupio robisz, rezygnując z tak wspaniałej okazji. Ty i Alan moglibyście przejść na emeryturę i odpocząć, zamiast zapracowywać się tu na śmierć.

- A z czego byśmy żyli? - spytała Anna Maria znudzonym głosem, jakby znała już wszystkie argumenty na pamięć. - Dość trudno kupować w sklepie za udziały w przedsiębiorstwie.

Debora straciła apetyt. Czuliła się jak mała łódeczka, unoszona na falach w zamglonym porcie, niezdecydowana, w którą stronę powinna się skierować, pewna, że jeśli czegoś nie zrobi, zatopi ją statek pod nazwą Preston Powell.

Dostrzegła Riley, siedzącego na płocie po drugiej stronie trawnika i rozmawiającego z sąsiadką. Uśmiechnął się do niej i ciepło tego uśmiechu sprawiło, że odstawiła talerz i ruszyła w jego stronę.

To głupie, pomyślała, ale z nim wiem, na czym stoję i co mam robić. Nikt inny nie daje mi tej pewności.

Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie, aż oparła się o płot, ramieniem dotykając jego torsu. Straciła równowagę, więc objęła go, by ją odzyskać. Riley nie przerywał rozmowy, pieszcząc palcami jej ramię, tak odruchowo, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Jego dotyk lekko ją łaskotał, oddech poruszał włosy, a ciepły głos wydawał się budzić rezonans w jej ciele.

Gdybym odchyliła nieco głowę, przebiegło jej przez myśl, to mogłabym skraść mu całusa...

To było dość zbijające z tropu uczucie, zupełnie *jakby ziemia pod jej stopami zmieniła się w gaiaretkę*. Czemu miałabym kraść mu całusa? - pomyślała, zła na siebie. Deboro, dziecko drogie, nie daj się złapać we własne sidła.

- Może pójdziemy na spacer? - spytał cicho Riley.

- Chodźmy nad strumyk. Tam jest spokojnie.

Przeszli wzdłuż wielkiego pola pomidorów i w dół, wijącą się ścieżką do obrzeżonego drzewami strumyka. Jego brzegi porastały krzewy, ale w jednym miejscu łąka schodziła niemal do wody.

Riley zatrzymał się tu i usiadł po turecku w słońcu.

- O co chodzi? - spytał wprost. Debora wzruszyła ramionami.

- Obiecałam, że spróbuję pomóc, ale nie wiem nawet, jak zacząć - powiedziała melancholijnie.

- Jestem z zewnątrz. Nikt mnie nie posłucha. - Usiadła, podciągając kolana i obejmując je ramionami. Nie patrząc na niego, mówiła dalej: - Czy to możliwe, że to my się mylimy? Może jesteśmy uprzedzeni i wpa damy w paranoję? Może to jednak dobra inwestycja?

Riley westchnął i rozciągnął się na trawie.

- Cholera, ty też?

- Nie - przyznała. - Ja osobiście nie powierzyłabym Prestonowi Powellowi nawet biletu na autobus. Ale trudno upierać się, gdy wszyscy dokoła uważają inaczej.

Riley oparł się na łokciach.

- Jest taki facet, biznesmen, który mieszkał tutaj, a potem przeprowadził się na Florydę - powiedział powoli. - Kilka miesięcy temu przyjechał w odwiedziny, a kiedy usłyszał o Paradise Valley, niemal eksplodował. Słyszałem, co mówił. Jadł obiad w restauracji, a ja zajmowałem się akurat ludźmi przy sąsiednim stoliku. Wyglądało na to, że słyszał o Prestonie Powellu w związku ze wspaniałym ośrodkiem wypoczynkowym w Everglades.

- Który zbankrutował, a wszyscy inwestorzy stracili pieniądze? - domyśliła się Debora.

- Dokładnie.

Spojrzała na niego z niechęcią.

- Dlaczego mi wcześniej o tym nie powiedziałaś? Do diabła, Riley, wcale nie musiałeś mnie w to wciągać! Mogłeś po prostu powiedzieć ciotce Idzie...

- Ten facet był jej przyjacielem, Deboro.

Nie „Debbie, kochanie”, zauważyła mimochodem.

- Co więcej - mówił dalej - to właśnie z Idą jadł obiad.

Wargi Debory ułożyły się w bezgłośnie „och”.

- Nie wiem, co odpowiedziała Ida - nie mogłem przecież stać za jej krzesłem i podsłuchiwać. Ale wiem, jak zareagowała Mary Beth, gdy jej to powtórzyłem. Powiedziała, że jestem głupi, że każdemu przedsiębiorcy zdarza się od czasu do czasu niepowodzenie, że na pewno wyciągnął nauczkę z historii w Everglades, więc w Paradise Valley to się nie powtórzy. Czy mam mówić dalej?

- Nie musisz - odrzekła ponuro Debora. - Już rozumiem.

- Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, Deb.

- Więc jesteśmy w punkcie wyjścia - westchnęła.

- Wiem tylko to, co powiedział mi ojciec. Że w Summer set była firma prawnicza pod nazwą Bowers i Milligan, która zajmowała się sprawami Jacoba. Czy wciąż tu są?

- Nie mam pojęcia. Spytaj mamę, ona powinna wiedzieć.

Debora wyciągnęła się na trawie koło Riley'a.

- Kto jest teraz doradcą prawnym Idy?

- Mąż Mary Beth.

- Ten, który sądzi, że Paradise Valley to wspaniała okazja?

Riley uśmiechnął się.

- O ile wiem, nie ma innego męża.

- Paradoks tej sytuacji zbija z nóg. - Debora zamknęła oczy. Gdyby nie te problemy z kurortem, pomyślała, mogłabym się naprawdę cieszyć tym dniem. Tu jest tak spokojnie. Lekki wietrzyk w gałęziach, ptak śpiewający w oddali, szelest liści... Wsluchiwała się w ciche, hipnotycznie działające odgłosy natury.

- Kiedyś tu były lelki - powiedziała sennym głosem.

- Ciągłe są. O zmierzchu.

- Obudź mnie w porę, żebym mogła je usłyszeć.

- Usmażysz się, jeśli zaśniesz w tym miejscu

- ostrzegł Riley. - Poza tym rozmawialiśmy o Paradise Valley.

- Jestem zmęczona Paradise Valley - odparła nie otwierając oczu. - Nie chcę, żeby ta sprawa zakłóciła moją drzemkę.

- W porządku - powiedział i Debora odprężyła się. Jednakże gdy po chwili wstał, w jej głowie odezwały się ostrzegawcze dzwoneczki.

- Nie zostawisz mnie chyba tutaj, co? - spytała ostrożnie.

- Oczywiście, że nie. Idę tylko na spacer wzdłuż strumienia - powiedział podejrzanie wesoło. - Od wieków nie łapałem zab...

Rzuciła się za nim i chwyciła go za nogę. Zrobił kilka kroków, zanim się zatrzymał.

- Nie podoba ci się ten pomysł? - spytał niewinnie.

- Absolutnie. Popatrz, co zrobiłeś z moim ubraniem! Całe jest w plamach z trawy!

- To nie ja zrobiłem z ciebie sanki. - Usiadł obok niej. - Ale przynajmniej znalazłaś się w cieniu, więc słońce cię nie spali. Chcesz, żebym pocałował i wszystko naprawił?

- Pocałował plamy od trawy? Nie sądzę...

Najwyraźniej nie chodziło o plamy z trawy. Jej protest zamarł pod pierwszym, gorącym dotykiem jego warg. Westchnęła cicho, a Riley uśmiechnął się i położył ją z powrotem na trawie. Wyciągnął się obok, a jego kciuk powędrował wzdłuż szyi i zatrzymał się w zagłębieniu, gdzie bił puls. Wbrew woli Debora objęła go za szyję, a Riley znów ją pocałował.

Miał trawę we włosach, pachniał słońcem i wiatrem. Był to najbardziej zmysłowy rodzaj wody kolońskiej, jaki kiedykolwiek czuła.

Jego dłoń pogłaskała ramię Debory i lekko, jakby na próbę, otarła się o pierś. Przygryzł jej dolną wargę, ciągnąc delikatnie, po czym uniósł głowę, by się uśmiechnąć.

W jego spojrzeniu było coś, co ją zastanowiło. Nie triumf - nic tak zimnego. Może zadowolenie? Tak niewielu mężczyzn lubiło ten rodzaj pieszczoty. Debora chętnie przyznała, że jej również sprawiło to przyjemność. Od dawna nikt nie całował jej z takim entuzjazmem.

Coś zaszeleściło nad ich głowami, jakby duży ptak spłoszył się nagle. W tej samej chwili ze szczytu zbocza rozległ się dziewczęcy głosik:

- Widzę cię,-Zach! Wszystko powiem!

Riley odwrócił głowę akurat w chwili, gdy coś czerwonego spadło z drzewa, uderzyło go w nos i wybuchło kaskadą wody, zalewając mu twarz, włosy i ubranie. Debora też była cała mokra.

Riley usiadł i wierzchem dłoni starł wodę z oczu. Dwie małe figurki zeskoczyły z drzewa i puściły się pędem za Robin. Po chwili zniknęły im z oczu.

- Nie ma sensu gonić tych małych potworów - mruknął. - Dopadnę ich później i zapłacę mi za to. Skąd oni wzięli ten cholerny balon z wodą?

- I jak długo siedzieli z nim tam na górze? - dodała Debora.

- Dobre pytanie. Chyba byliśmy zbyt zajęci, żeby ich zauważyć. Może będziemy kontynuować od miejsca, w którym nam tak brutalnie przerwano? Dzieciaki i tak doniosą wszystkim, co robimy.

- Nie robimy niczego strasznego - powiedziała Debora.

- No właśnie. Więc możemy dalej się bawić. - Oparł się na łokciu, a jego wskazujący palec ześlizgnął się powoli z jej wciąż mokrej brody na przód bluzki.

Usiadła tak gwałtownie, że zakreśliło się jej w głowie.

- Spacer na wzgórze, gdzie Preston chce zbudować tor saneczkowy, może być interesujący.

Riley zmarszczył brwi i usiadł.

- Tor saneczkowy? Tutaj? Czy Ida coś ci o tym mówiła?

- Nie, ale to logiczny, następny krok. Może spróbuje zorganizować tu zimową olimpiadę.

- Tylko nie mów nic takiego przy ludziach, Deb

- powiedział trzeźwo. - Pół miasta ci uwierzy i jutro przeczytasz to na pierwszej stronie miejscowej gazety jako świętą prawdę.

Debora przeczesała włosy palcami.

- Mówiąc o świętej prawdzie... Mam nadzieję, że

znajdziesz dobrą wymówkę, żeby nie iść jutro do kościoła.

- Co takiego? I narazić na szwank moją nieśmiertelną duszę?

Spojrzała na niego z wyższością.

- Wątpię, żeby opuszczenie jednej mszy robiło jej jakąś różnicę.

- Sugerujesz, że już jest zagrożona? - Wyglądał na urażonego.

- No, jeśli nakłamiemy pastrowi Adamsowi - tak on się nazywa...?

Riley przytaknął.

- ...o naszych ślubnych planach, to oboje będziemy mieli kłopoty.

- A dlaczego mielibyśmy?

- Bo ciotka Ida umówiła nas z nim jutro rano po mszy. Właśnie dlatego.

Riley urwał źdźbło trawy i zaczął je gryźć.

- Nie podoba mi się to.

- Jest coraz gorzej, Riley. Ona przejmuje kierownictwo. Jeśli szybko nie wygrzebiemy się z tego, ciotka Ida zamówi Siódmy Pułk Kawalerii, żeby zrobił szpaler z szabłami przed kościołem w ten wielki dzień.

- Naprawdę mi się to nie podoba, Deb.

- Tylko nie próbuj zrzucić na mnie winy! To ty ogłosiłeś, że ten domniemany spektakl odbędzie się w Summerset, idioto. Gdybyś pozwolił mi postawić na swoim, Ida nie miałaby możliwości wtrącania się. Nikt by się nawet nie zastanawiał, czy sprawy posuwają się naprzód!

- Zgoda - przyznał Riley wielkodusznie. - Może rzeczywiście przesadziłem.

- Przesadziłeś? Mam wrażenie, że wpakowałeś nas w niezłą historię - powiedziała ponuro. - W tempie, w jakim Ida planuje, cały fundusz powierniczy pójdzie na ślub.

- I zmarnuje się - zgodził się Riley. - Bo jeśli ślub się nie odbędzie, wyrzuci wszystkie pieniądze w błoto.

Spojrżeli na siebie z przerażeniem.

- Jeśli nie będzie żadnego ślubu, to fundusz za nic nie zapłaci. I powstaje pytanie: kto pokrywa rachunki?

- To był twój pomysł - wytknął jej Riley.

- Zaręczyny, tak. Ale gdybyś mnie nie błagał, Sebym tu przyjechała, z własnej woli nigdy bym tego łnie zrobiła. Przez to jesteś na wpół odpowiedzialny.

- To ty masz pieniądze.

- W tym tempie niedługo nie będę ich miała!

- A może po prostu doprowadzimy sprawę do końca?

- Fundusz płaci za śluby, idioto. Rozwód nie przewidziano. Nic nie zyskamy.

Zapadła cisza.

- Myślę, że powinniśmy zacząć coś robić z twoim jedynym tropem - powiedział w końcu Riley. - I to Szybko!

- Dobry pomysł. - Debora wyciągnęła ręce, a Riley pomógł jej wstać.

Większość gości już się rozeszła. W kuchni znaleźli Annę Marię przy filiżance herbaty. Obok, w bujanym fotelu siedziała Mary Beth, trzymając na kolanach swoje najmłodsze, drzemiące w tej chwili dziecko. Uniosła brwi na widok ubrania Debory, ale nic nie powiedziała.

Debora miała nadzieję, że zastanie Annę Marię Samą, ale wyglądało na to, że Mary Beth nie ma zamiaru się ruszyć.

- Czy nie wiecie, gdzie mogę znaleźć prawnika nazwiskiem Bowers? Kiedyś miał tu kancelarię.

- Na cmentarzu w Summerset - powiedziała Mary Beth. - Po co? Chcecie spisać intercyzę, czy coś w tym rodzaju?

- Tak - odpowiedział natychmiast Riley. - Usiłuję

zabezpieczyć mój majątek na wypadek, gdyby się okazało, że Deb wychodzi za mnie dla pieniędzy. Debora skarciła go wzrokiem.

- A jego partner, Milligan? Czy on jeszcze żyje?

- O ile wiem, to tak. A dlaczego Rod nie może tego spisać?

- Sprzeczność interesów - powiedział Riley. - Może być stronniczy. Na moją korzyść, oczywiście.

- Nie licz na to - powiedziała sucho jego siostra.

- Zbyt dobrze cię zna. Fred Milligan przeniósł się do Springfield i pracuje w biurze prokuratora stanowego. Nie prowadzi prywatnej kancelarii.

Biuro prokuratora stanowego? - pomyślała oszołomiona Debora. W biurze prokuratora stanowego jest taki wydział, który zajmuje się oszustwami. Milligan od razu będzie wiedział, o czym mowa. A poza tym zna fundusz Lassiterów. Zatem wszystko, co trzeba zrobić, to dopaść pana Milligana!

Rzuciła Rileyowi triumfujące spojrzenie. Riley utkwił w niej niechętny wzrok i zaproponował, by wracali, bo powinien być w restauracji przed wieczornym napływem gości.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie znajdziemy Aleca?

- spytał siostrę.

- Nie przejmuj się nim - odparła Mary Beth.

- Zabiorę go, gdy będziemy jechać do domu. Jedno dziecko więcej nie zrobi różnicy.

- Robin nie będzie zachwycona - mruknął Riley, gdy wychodzili z domu. - Ale nie mam zamiaru kłócić się z Mary Beth o opiekę nad tym szczeniakiem.

- Mówiłam ci, że Bowers i Milligan będą ważni

- powiedziała z satysfakcją Debora, gdy tylko wyjechali z farmy.

Riley mruknął coś pod nosem z niedowierzaniem.

- Zobaczmy, jacy są ważni. Nic nie możesz z tym zrobić przed poniedziałkiem.

- To co? Och!
- No właśnie, wciąż zostaje nam na jutro problem pastora Adamsa.
- Nie chciałabym kłamać człowiekowi w sutannie, Riley.
- Wystarczy, że się będziesz uśmiechać i mówić o sprawach ogólnych.
- A kłamać będziesz ty? Zdejmujesz mi kamień z serca.

Rzucił jej uważne spojrzenie.

- Jak na kogoś, kto w ogóle nie chce iść do kościoła, masz bardzo wrażliwe sumienie - mruknął. - Chyba powinniśmy mu powiedzieć, że mamy zamiar pobrać się wiosną.

- Dobrze - zgodziła się Debora. - Nie powiemy mu tylko, którą.

- Chyba Ida nie zacznie wydawać pieniędzy natychmiast, skoro ślub ma być dopiero za parę miesięcy.

- Najwyraźniej nie miałeś do czynienia ze zbyt wieloma ślubami.

- A ty tak? Opowiedz mi, Debbie, kochanie!

- Przypomnij sobie te wszystkie dziewczyny, które mają być druhami na moim ślubie - powiedziała Debora oschle. - Połowa z nich to już mężatki. Każdą z nich odprowadzałam do ołtarza. I pomagałam przez wszystkie miesiące organizowania, planowania i Ustalania budżetu...

- Proszę, nie mów o budżecie. Samo to słowo sprawia, że zaczyna boleć mnie brzuch.

- Mnie też - przytaknęła Debora ponuro. - Jednej z nich zajęło to cały rok, a ślub wcale nie był tak okazały, jak chciałaby ciotka Ida. W gruncie rzeczy przychodzi mi na myśl tylko jedna rzecz gorsza od planowania mojego ślubu przez ciotkę Idę - mianowicie planowanie przez nią własnego ślubu.

Żartowała, więc zaskoczyło ją, że Riley potrak-

tował te słowa poważnie i zamyślił się na dłuższą chwilę.

- Chyba jednak do tego nie dojdzie - powiedział w końcu. - Ostatecznie śliski wąż dostaje wszystko, co chce, bez podejmowania jakichkolwiek zobowiązań. Myślę, że tego nie zmieni - chyba że będzie musiał.

Debora zaniemówiła.

Dojeżdżali już do Lassiter House, gdy Riley znowu się odezwał:

- Popraw mnie, jeśli nie mam racji, ale odnoszę wrażenie, że nie zależy ci na wielkim ślubie tak bardzo, jak początkowo myślałem.

Debora wciąż miała przed oczami wizję osiemdziesięcioletniej panny młodej w białej satynowej sukni i w welonie - była gotowa się założyć, że Ida ma prawo do welonu. Z drugiej jednak strony ciotka okazywała się być osobą pełną niespodzianek.

- Właściwie nie - powiedziała. - Moim ideałem jest krótka ceremonia o dziewiątej rano, potem śniadanie z szampanem i odjazd młodej pary na długi, leniwy miodowy miesiąc w jakimś romantycznym miejscu, nie na tyle daleko, żeby podróż stawała się problemem, gdzieś, gdzie nie ma nic do roboty poza leżeniem w słońcu i bliższym poznawaniem się.

Riley zachichotał.

- Zawsze możesz rozstawić namiot nad jeziorem Paradise.

- Powiedziałam „romantycznym”, nie pamiętasz? Ale może poproszę Prestona, żeby zarezerwował mi apartament dla nowożeńców w swoim nowym hotelu.

- To świetny pomysł, jeśli nie zamierzasz wychodzić za mąż w ciągu najbliższych dwudziestu lat.

Podjechał na sam szczyt wzgórza. Debora była wdzięczna, że nie musi wspinać się po schodach, i gdy samochód stanął przed drzwiami Lassiter House, podziękowała szczerze Rileyowi i wysiadła.

- Poczekaj! - zawołał i obszedł samochód.
- Co jeszcze? Powiedziałam „dziękuję”.
- Ale nie dość czule - zamruczał. - W każdym razie nie dość, jeśli Ida nas obserwuje. Pamiętaj, że ten dom ma milion okien.

Obecność publiczności nigdy mu nie przeszkadza, pomyślała Debora nieco nieprzytomnie, podczas gdy Riley całował ją żarliwie. To śmieszne, że choć zawsze trzymał ręce w bezpiecznych i przyzwoitych miejscach, czuła, jak działają na jej zmysły. No, przedtem był ten lekki, ciepły dotyk jej piersi, ale to się nie liczyło; to było tylko muśnięcie dłoni o bluzkę, przerwane gwałtownie przez balon z wodą.

Dobrze, że nam przerwano, pomyślała. Chyba za bardzo spodobała jej się ta gra. A jeśli chodzi o wczorajszy komentarz, że ten, kto nauczył ją całować, powinien otworzyć szkołę... No cóż, Riley też mógłby dawać lekcje.

Ciekawa jestem, przemknęło jej przez głowę, gdzie on się tego nauczył...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ciotka Ida siedziała w pokoju na tyłach domu, tak spokojnie i cicho, że Debora niemal potknęła się o jej nogi, zanim zdała sobie sprawę z jej obecności. Spojrzała na trzymane przez ciotkę czasopismo i natychmiast próbowała przemknąć niepostrzeżenie. Bez powodzenia.

Ciotka Ida pomachała żurnalem.

- Spójrz na tę wspaniałą aksamitną suknię - powiedziała.

Debora westchnęła w duchu i posłusznie spojrzała na okładkę magazynu. Suknia była naprawdę piękna, z dopasowaną górą i obfitą spódnicą, przedłużoną z tyłu tak, że tworzyła niewielki tren. Wysoki kołnierz ozdabiał haft z drobnych perełek, przypominający wykończenie dawnych wojskowych uniformów. Skojarzyło jej się to z kozackim mundurem - a może to tylko futrzany toczek przywoływał takie porównanie? A jednak była to bardzo kobieca suknia, doskonała dla starszej, wytwornej panny młodej.

Dość, Deboro, powiedziała sobie stanowczo. Jeśli wykażesz choćby najmniejsze zainteresowanie, ciotka Ida natychmiast ją zamówi!

- Widzę, że szerokie rękawy z wysokimi mankietami są znowu modne - skomentowała, starając się, by jej głos brzmiał obojętnie.

Ida odsunęła czasopismo na długość ramienia.

- Ten toczek jest z gronostaja - zauważyła. - Prze piękny. A aksamit jest zawsze elegancki. A może wolałabyś coś z jedwabnej tafty i piór? Albo z satyny

pokrytej starą koronką? - Spojrzała na pogniecione szorty i bluzkę Debory i dodała oschle: - Może lepsza byłaby suknia z odpornego na plamy stylonu.

Debora powinna się spodziewać takiej uwagi. Ciotka Ida zawsze celowała w sarkastycznych, wygłaszanych be? wahania komentarzach, na które nie było odpowiedzi.

- Pomyślę o tym.

Mina Idy sugerowała, że nie jest zadowolona z tak grzecznej odpowiedzi, ale spytała gładko:

- A swoją drogą, kiedy ma być ślub?

- Nie wiem.

- Mów głośniej, kochanie. - Ida osłoniła ucho dłonią. - Zabrzmiało to tak, jakbyście nawet o tym nie rozmawiali.

- Riley mówił coś o wiośnie - powiedziała. Chyba to powstrzyma nieco ciotkę?

- Więc musimy się pośpieszyć. Nie zostało wiele czasu. Jaką muzykę chcesz mieć w kościele?

Debora była zbyt zaskoczona, żeby zachować ostrożność.

-- Muzykę? - spytała cicho. - Ciociu, to jest bal maturalny!

- Oczywiście, że nie, ale wszystko trzeba zaplanować! Wielkie nieba, Deboro, rusz głową!

- Naprawdę nie zastanawiałam się nad tym, ciociu - mruknęła. Nie zdawała sobie sprawy, że obraca na palcu zaręczynowy pierścionek. Był taki lekki, że w ogóle o nim zapomniała aż do chwili, gdy spoczęły na nim jasnoniebieskie oczy ciotki.

- Niezbyt wytworny pierścionek - zauważyła.

- Dziwię się Rileyowi, że dał ci ten drobiazg po Darlene, a nie jakiś porządny brylant.

Debora spojrzała na swoją dłoń. Darlene? Nie pamiętała imienia babki Riley.

- Ma wartość sentymentalną - powiedziała. - Nie

chciałabym dużego pierścionka, jeśli Riley miałby się z tego powodu zadłużać.

- Możesz mieć inny pierścionek. Fundusz za niego zapłaci.

A potem sprzedam go, żeby pokryć koszty rozwodu, pomyślała Debora. Przez moment wydawało się jej, że to ma sens, ale już po chwili miała ochotę walnąć głową o ścianę, żeby odzyskać zdrowy rozsądek.

Udało jej się w końcu uciec, zabierając stertę czasopism dla nowożeńców, które Ida już przejrzała. Chyba wykupiła wszystko, co na ten temat mieli w księgarni, pomyślała, rzucając na łóżko cały stos. Wyciągnęła się na stojącej pod oknem kanapie, wachlując się jednym z nich.

To wszystko wymyka nam się z rąk, pomyślała. Czuję się tak, jakbym nie miała już od tego uciec.

Chicago i galeria nigdy jeszcze nie wydawały się tak odległe.

Tego wieczoru Ida spóźniła się na kolację. Preston Powell przyszedł punktualnie i jego towarzystwo szybko zaczęło działać Deborze na nerwy. Nie lubiła, gdy ktoś jej mówił, że kipi życiem jak szampan bąbelkami, że jej głos jest dźwięczny i piękny jak dzwoneczki. A gdy Preston stwierdził, że jej oczy mają kolor wody w jeziorze Paradise w pochmurny dzień, Debora miała dość.

Sączyła wolno kseres.

- Zastanawiałam się, Preston - powiedziała - czy jeśli ktoś zainwestuje w twoje przedsięwzięcie, a potem zmieni zdanie i zechce zwrotu pieniędzy, to mu je oddasz?

Musiła przyznać, że facet jest opanowany. Odpowiedział bez wahania:

- Oczywiście. Nie chcemy żadnych niechętnych inwestorów. Tworzymy zespół, a jeden pesymista

wpłyne niekorzystnie na wszystkich. - Przysiadł na poręczu jej fotela. - Czy ktoś ci kiedyś mówił, że twoje...

Wstała i podeszła do pianina w głębi pokoju.

- Tak po prostu zwrócisz pieniądze? - nalegała.

- No, oczywiście nie od razu. Najpierw spróbowałbym dowiedzieć się, co wpłynęło na zmianę zdania

- odparł Preston. - Starałbym się przekonać taką osobę, że rezygnuje ze wspaniałej okazji.

- A jeśli ta osoba upierałaby się?

- To wypisałbym czek na pełną wysokość wpłaconego wkładu.

A nasz hipotetyczny inwestor powinien wtedy czym prędzej biec do banku, pomyślała Debora. Preston podszedł do pianina.

- Czemu pytasz, Deboro? Czy chciałabyś zainwestować pieniądze, najpierw upewniając się, że będą bezpieczne? Z przyjemnością pokażę ci prospekty.

W holu rozległ się ostry dzwonek telefonu. Debora podskoczyła i westchnęła z ulgą.

- Lepiej odbiorę. Henry nie znosi, gdy mu się przeszkadza w końcowej fazie przygotowań do kolacji.

Dzwonił Bristol. Gdy usłyszała jego opanowany głos, Debora zdrętwiała z przerażenia. Nie chodziło tylko o to, że dzwoni do niej tutaj, do Lassiter House. Nagle zdała sobie sprawę, że całkiem o nim zapomniała - przez ostatnie dwa dni nie poświęciła mu ani jednej myśli. Nie tęskniła za nim. Nie zastanawiała się nawet, jak się czuje i jak mu idzie konferencja. Była pochłonięta myślami o Rileyu.

Nie, nie o Rileyu, poprawiła się, o Paradise Valley. Nic dziwnego, że zapomniałam o Bristolu. Zbyt wiele spraw mam na głowie.

- Czy coś się stało, moja droga? - spytał Bristol uprzejmym tonem, który tak dobrze znała.

Debora z trudem się opanowała. Nie mogła mu

przecież powiedzieć, że nie powinien do niej dzwonić.

- Nie, nic się nie stało. Po prostu zdziwił mnie twój telefon, to wszystko.

- Przecież wiesz, że zadzwoniłbym wcześniej, gdybym nie był tak bardzo zajęty.

- Dobrze się bawisz w San Francisco?

Nastąpiła chwila ciszy.

- Kochanie, skoro nie miałem czasu nawet na telefon do ciebie, to nie sądzisz chyba, że mam czas na zabawę.

- Oczywiście, że nie - powiedziała pospiesznie. - Jak tam konferencja?

- Dziękuję, bardzo dobrze. Jest tu tyle spraw, które mogą być użyteczne dla fundacji, że przemyślenie ich zajmie mi parę tygodni. Sposoby na bezpieczne zwiększanie potencjału inwestycyjnego funduszy...

Debora uczepiła się jednego słowa.

- Inwestycyjny? Czy to znaczy, że uczysz się o różnych inwestycjach?

Znowu zapadła cisza.

- Tak, Deboro - powiedział w końcu Bristol uprzejmie. - Mówiłem ci chyba, że jest to seminarium, w którym uczestniczą czołowi doradcy do spraw inwestycji z całego kraju. Ale może myślałaś wtedy o czymś innym.

To musiało być w „Coq au Vin”, kiedy jej myśli zajmował Riley.

- Czy sądzisz, że mogą coś wiedzieć o budowie kurortu tutaj, w Summerset?

- Moja droga, ci ludzie wiedzą wszystko, jestem tego pewien. Czy szukasz bezpłatnej porady, czy też ma to być test, za pomocą którego mogę sprawdzić ich wiedzę?

- Ani jedno, ani drugie. Po prostu chciałabym się

dowiedzieć wszystkiego, co się da. Ciotka Ida wpakowała się w to przedsięwzięcie i ...

- Ach, tak, ciotka Ida. Jak się czuje kochana pani?

Przez jeden szalony moment Debora zastanawiała się, czy nie opowiedzieć mu o ciotce Idzie, organizatorce ślubów, ale odzyskała panowanie nad sobą. Rzuciła przez ramię spojrzenie w stronę jadalni, gdzie Preston Powell wciąż sączył swój koktajl, i powiedziała cicho:

- Słuchaj, Bristol, nie mam czasu, żeby wchodzić w szczegóły, ale to ważne. Jeżeli uda ci się dowiedzieć czegokolwiek o Paradise Valley i facecie nazwiskiem Preston Powell, który to promuje...

Musiała zapisać Bristolowi na plus, że nie domagał się bliższych wyjaśnień. Przeliterowała mu nazwisko Prestona i nazwę kurortu.

- Czy sądzisz, że straciła rozeznanie co do sensowności swoich inwestycji? Takie rzeczy się czasem zdarzają. Zobaczą, co uda mi się zrobić, żeby pomóc starszej pani, a ciebie uspokoić, Deboro.

Po skończonej rozmowie siedziała jeszcze przez chwilę ze słuchawką w dłoni. Poczciwy, stary Bristol - pomyślała. Zawsze solidny, zawsze przezorny. Był wszystkim tym, czym nigdy nie był Morgan. Jak to Riley nazwał Morgana? Kudłaty przyjaciel?

Ida zeszła po schodach, zdecydowanie stawiając stopy na drewnianych stopniach.

- Chyba nie spodziewasz się, że będziemy czekać z kolacją, aż skończysz pogawędkę - powiedziała do Debory.

- Ależ nie - odpowiedziała serdecznie, myśląc równocześnie: Natychmiast po obiedzie muszę stąd uciec i poinformować o wszystkim Rileya. Nie miałam pojęcia, że konspiracja zajmie mi tyle czasu!

W restauracji nie było zbyt wielkiego ruchu. Wokół magazynu stało kilka samochodów. Gdy parkowała,

zauważyła postać w smokingu, rysującą się czarną sylwetką na tle ciemniejącego już nieba. Riley opierał się o barierkę oddzielającą parking od opadającej ostro w dół do rzeki skarpy.

Przyglądał się jej, gdy się zbliżała.

- A to odmiana - powiedział, wskazując na koktajlową sukienkę z zielonego, lekkiego materiału, przetykanego złotą nicią.

- Próbowałam wywrzeć wrażenie na ciotce Idzie - wyjaśniła Debora. - Co tutaj robisz?

- Nie widzisz? - Riley zachichotał, wskazując na wodę. - Odbijam się.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego twoja matka nie utopiła cię, gdy miałeś sześć lat - jęknęła Debora.

- No wiesz?! Byłem kochanym sześciolatkiem. Ty natomiast byłaś pulchną płaksą. Co oczywiście i tak było lepsze niż ty w wieku lat dziewięciu, gdy zaczęłaś chichotać. A kiedy miałaś dwanaście, nosiłaś aparat na zębach i byłaś tłusta.

- Czy ty nigdy niczego nie zapominasz? To okropne z twojej strony, Riley.

Pomyślała, że takie przypominanie dzieciństwa powinno ją rozzłościć, ale jakoś już jej to nie przeszkadzało. W jakimś sensie miło było spędzać czas w towarzystwie kogoś, kto znał wszystkie błędy i niepowodzenia. Wygodnie było niczego nie udawać.

Oparł się o barierkę i przyglądał jej się przez dłuższy czas.

- Wiesz co, mała? - powiedział w końcu. - Pomimo wszystko, wyrosłaś na całkiem fajną dziewczynę.

- Tylko tyle możesz o mnie powiedzieć? Całkiem fajną? - Udała oburzenie.

- A co byś chciała? - roześmiał się. - Wiersze? W porządku. „Róża jest biała, a Debbie czerwona, taka jest piękna, że niech lepiej skonam”.

Wyciągnęła rękę, żeby zmierzwić mu włosy. Złapał

ją za przeguby rąk i obrócił niespodziewanie. Znalazła się między jego ciałem a barierką, odwrócona do Rileya plecami. Obejmował ją, przyciskając do barierki jej dłonie. Próbowła się wyzwolić, ale zrezygnowała z godnością. Przecież był kiedyś członkiem szkolnej drużyny zapaśniczej.

Ostatnie promienie słońca zmieniły gładką powierzchnię rzeki w płynne złoto.

Jak tu ślicznie, pomyślała Debora. Czy chodziło mu o to, że jestem piękna, ale nie chce karmić mojej próżności, mówiąc mi to, czy też o to, że jest zbyt uczciwy, by powiedzieć nieprawdę?

Odchyliła głowę, żeby na niego spojrzeć. Słońce odbijało się w jego włosach, zmieniając kasztanowe kosmyki w płomienie. Deborze zapało dech w piersiach.

Naprawdę wyrósł na bardzo przystojnego mężczyznę, pomyślała. Ale to nie tylko wygląd sprawia, że jest atrakcyjny. Jest wielu przystojnych mężczyzn, ale Riley należy do tej rzadkiej odmiany, która nic sobie z tego nie robi.

Wielkie nieba, przemknęło jej przez myśl. Kiedy mówił, że w jego życiu były setki kobiet, mógł mówić prawdę! Gdyby ktoś dwa tygodnie temu spytał mnie o kuzyna Rileya, wielkiego amanta, skręcałabym się ze śmiechu. Ale teraz to wcale nie brzmi śmiesznie. Nawet ja...

Nawet ja... co?

Przełknęła ślinę i powiedziała sobie surowo: nawet mnie było przyjemnie, gdy mnie całował. I co w tym złego? Dlaczego nie miałabym się zabawić? Nie jestem hipokrytką ani pruderyjną kobietą.

Patrzyli w milczeniu, jak czerwonozłote niebo gaśnie na zachodzie, a latarnie uliczne zaczynają odbijać się w ciemniejącej wodzie, tworząc błyszczący łańcuszek.

- Zawsze, jak na to patrzę, mam ochotę wyciągnąć swoją trąbkę.

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Oj, twoje granie na trąbce nigdy nie było wiele warte. - Obejmujące ją ramiona zacisnęły się ostrzegawczo, więc dodała szybko: - Hej, tylko żartowałam. Czy miałeś już okazję porozmawiać z Ruth?

- Jeszcze nie - powiedział powoli, puszczając ją. - I co, do diabła, właściwie powinienem jej powiedzieć?

Po zachodzie słońca zrobiło się chłodniej. Debora odwróciła się do Riley'a i zrelacjonowała swoją rozmowę z Prestonem.

- No, nie liczyłem za bardzo na zwrot pieniędzy - mruknął. - Wątpię, żeby dał to komuś na piśmie. Ale powiem jej.

- Uważasz, że Ruth nie zmieni zdania?

- Nie. I może mi też powiedzieć, żebym poszedł do diabła i nie wtrącał się w nie swoje sprawy. No cóż, to rzeczywiście nie jest moja sprawa. Ale spróbuję.

- Dla Aleca - powiedziała łagodnie, a gdy nie odpowiedział, trąciła go dłonią. - Riley?

- Myślę o tym - odrzekł. - Ale po tym balonie z wodą, nie jestem pewien...

- To jest właśnie problem z kawalarzami - stwierdziła Debora. - Sami nie lubią, gdy im się robi kawały. Aha, swoją drogą, mam dobre wiadomości. Pastor Adams jest zajęty jutro po mszy - ma chrzciny. Może porozmawiać z nami dopiero w środę.

- Co za ulga.

- Prawda? Przy odrobinie szczęścia do środy wszystko się wyjaśni i nie będziemy musieli go w to wciągać.

- Myślisz, że uda nam się tak szybko? - głos Riley'a zdradzał wątpliwości.

- Oczywiście. W poniedziałek zadzwonię do Miligana i wyjaśnię mu, co się dzieje. Wtedy on

zatelefonuje do ciotki Idy i powie jej kilka słów do słuchu. I tak cała afera się skończy.

- Do środy? - Riley nie robił wrażenia zadowolonego.

- Czemu nie? - Debora wzruszyła ramionami,

- Będzie miał cały wtorek na zebranie informacji o Prestonie Powellu. Powinno mu to wystarczyć.

- Nie przestajesz mnie zadziwiać, kochanie. - Debora wyczuła ironię w jego głosie.

Chciała jeszcze powiedzieć, że zatrudniła równie Bristolą, ale zrezygnowała. A więc Riley uważa, że ona nie potrafi niczego załatwić, tak? No, poczekajmy, Prędzej czy później zobaczy, na co ją stać!

- Słuchaj, nie chcę przerywać naszego tete-a-tete, ale wyszedłem tylko na chwilę odetchnąć świeżym powietrzem. Moi pracownicy lada moment zaczną poszukiwania. Może wejdiesz i zjesz jakiś deser, podczas gdy ja będę zamykał restaurację?

- Czy próbujesz mnie skorumpować?

- To zależy - powiedział z błyskiem w oku,

- A jesteś podatna na korupcję?

- Mówiłam o tym wózku pełnym kalorii, którym Ruth kusila nas wczoraj wieczorem - powiedziała z godnością.

- Ha, wiem skądinąd, że desery w Lassiter House składają się z owoców z galaretką na zmianę z galaretką z owocami.

- Masz rację - westchnęła Debora. - I w dodatku owoce nie są świeże.

Wózek z ustawionymi na nim deserami był kuszący. Debora stoczyła krótką walkę ze swoim sumieniem, ale w końcu poddała się biszkoptowi z malinami i bitą śmietaną. Wdrapała się na wysoki stółek przy barze, by zjeść ciasto, ale nie doszła nawet do połowy, gdy pojawił się Riley. Wbiła jedną malinę na widelczyk i pomachała do niego.

- Świeże owoce - powiedziała. - Z ogrodu twojej matki?

Złapał ją za rękę i zjadł malinę.

- Oczywiście. Wszyscy już poszli, a ja pozamykałem.

- Wiem. Powiedziałaś Ruth dobranoc. Rozmawiałaś z nią?

- Kiedy wszyscy kręcili się dookoła? Oczywiście, że nie. A nie chciałem prosić, żeby została dłużej.

- Jasne. - Debora pokiwała głową z domyślną miną.

- Twojej hostessie by się to nie podobało. Odwołuję to, co mówiłam, że Ruth jest w tobie zakochana. To na hostesę powinieneś uważać.

- Zmarszczyła brwi i uważnie nabrała na widelczyk bitą śmietaną.

- Jeśli skończyłaś już się tym bawić...

- Wcale się nie bawię. I nie skończyłam.

- To zabierz talerzyk, ale chodźmy gdzieś, gdzie można wygodniej usiąść. - Wyłączył światła. Debora posłusznie poszła za nim przez hol wejściowy na górę, po schodach.

- A co jest tutaj? - spytała, wpatrując się w ciemność na pierwszym podeście. - Na parterze masz restaurację, na górze - mieszkanie, a co jest w środku?

- Mnóstwo wolnego miejsca - odpowiedział Riley.

- Chcesz zobaczyć?

Wyciągnął pęk kluczy i otworzył drzwi. Światłówki zamruczały, ożywając, i zalały niebieskawym światłem pomieszczenie, zajmujące całe piętro budynku. Było tu bardzo czysto, ale nie pomalowane ściany z cegły, zadrapania i plamy na podłodze świadczyły o dawnych zniszczeniach. Pomieszczenie było tak wysokie, że można by w nim zbudować antresolę i podzielić na wspinałe jednopokojowe apartamenty.

Musiała bezwiednie powiedzieć to na głos, bo Riley odparł:

- Wolałbym tu zrobić dodatkowe sale restauracyjne.

Teraz, kiedy mam zamówione duże przyjęcie, muszę zamykać moim stałym klientom drzwi przed nosem. No, ale to jeszcze potrwa.

- Dlaczego? Masz tu dość miejsca. I najwyraźniej jfcst ci *ono* potrzebne.

- Sama mi powiedziałaś, że stworzenie pozorów sukcesu nie jest tanie. A wiesz, ile kosztują windy? Wyłączył światła i zamknął drzwi na klucz. - Na ten temat są ściśle przepisy. Zresztą, to tylko początek. Jestem właścicielem także sąsiedniego budynku.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Właściwie nie wiem, dlaczego go kupiłem - mruknął Riley. - Miałem chwilę słabości, a cena była śmiesznie niska. Chciałbym tam zrobić jakieś sklepy z antykami i tak dalej.

- Przyciągnęłoby to klientów w ten rejon miasta - powiedziała.

- No właśnie. A jak ktoś się zmęczy zakupami, to chętnie coś zje. Ale zanim naprawię ciekący dach i wymienię potłuczone szyby... - westchnął. - Może w przyszłym roku, jeśli śliskiemu wężowi nie uda się wcześniej doprowadzić miasta do bankructwa.

Byli już przy drzwiach mieszkania.

- A może tak się stać?

- Jasne. Jeśli wyciągnie od ludzi wolne środki, które inaczej poszłyby na wspieranie interesów na miejscu...

- Rozumiem. - Debora straciła nagle apetyt.

- No, ale nie ma się o co martwić, prawda? ~~ powiedział lekkim tonem. - Przecież do środy wszystko załatwisz.

Ciężar odpowiedzialności, jaka na niej spoczywała, załamał ją nagle zupełnie. Debora odstawiła talerzyk z ciastem i podniosła dłoń do skroni, gdzie wyczuła Pulsującą w przerażającym tempie żyłkę.

Riley zamknął drzwi i odwrócił się.

- Deb? Dobrze się czujesz? - Był przy niej w sekundę, obejmując ją łagodnie i podtrzymując, gdy pod Deborą ugięły się kolana. Zaniósł ją na kanapę i przykleknął obok, głaszcząc ciepłą dłonią jej policzek.

- Debbie, kochanie, o co chodzi?

Próbowała mu powiedzieć, choć trudno jej było zebrać myśli. Riley słuchał wyszochiwanych słów i urywanych zdań, marszcząc brwi. W pewnej chwili usiadł na kanapie i przytulił ją. W końcu zrozumiał.

- I to wszystko? - zapytał.

- Wszystko?! - Była nieprzytomna z gniewu.

- Powiedziałaś...

- Do diabła, Debbie, przecież żartowałem. Nie traktuj tego tak serio.

- To był żart? - Usiadła prosto, odpychając go od siebie.

- No dobrze, nie byłem zbyt taktowny, ale zaczynałaś się zachowywać tak, jakbyś była wszechmocna. Nie możesz zbawić świata.

- Tylko twój jego zakątek, tak?

- Po prostu spróbuj, Debbie. Jeśli się nie uda...

- To twoje plany i marzenia szlag trafi. - Wbrew chęciom, głos zabrzmiał smutno. Gdy Riley znowu przyciągnął ją do siebie, nie protestowała. Wtulił brodę w jej włosy.

- Moje nie - powiedział łagodnie. - Nie martw się o mnie. A jeśli chodzi o innych - no cóż, to smutne, ale prawdziwe, że każdy ma prawo być cholernym głupcem, Deb.

Zamilkł. Debora pociągnęła nosem, kiwnęła głową i spojrzała na Rileya, czekając na dalsze słowa. Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że zamarła.

Riley westchnął.

- Łącznie ze mną - mruknął pod nosem. Jego dłoń zsunęła się na plecy Debory i przyciągnęła ją bliżej.

Nie opierała się. W gruncie rzeczy, gdyby była

w tej chwili w stanie wyrazić swoje myśli, powiedziałyby zapewne, że nie ma nic przeciwko łagodnej, pocieszającej pieszczocie.

Ale w sposobie, w jaki ją całował, nie było ani łagodności, ani pieszczotliwej pociechy. Była to raczej letnia burza, która nagle spadła z czystego nieba, pełna gromów, błyskawic i wiatru, grożąc zmieceniem z drogi każdemu, kto jest na tyle głupi, że nie szuka schronienia.

A Debora nie chciała szukać schronienia. Nie chciała chować się przed burzą. Oddawała mu pocałunki, ciesząc się ich smakiem, rozkoszując bliskością jego silnego ciała, gdy oparł ją na miękkich poduszkach kanapy, i ciepłem jego dłoni spoczywających na cienkim materiale sukni. Czuła, jakby dotykał bezpośrednio jej rozgrzanej skóry. I to właśnie za chwilę zrobi, wiedziała, bo jego palce bezbłędnie trafiły na drobne guziczki z przodu sukienki.

Powinnaś to przerwać, przemknęło jej przez głowę. To zaczyna być jak gra w rosyjską ruletkę. Im dłużej trwa, tym bardziej jest niebezpieczne. Musisz to przerwać, Deboro...

Ale słowa, które w końcu wydobyły się chrapliwie ze ściśniętego gardła, brzmiały inaczej:

- Nie tutaj, Riley...

Nie rozpiął jej sukienki. Jego dłonie ześlizgnęły się po miękkim materiale, aż spoczęły na jej piersiach, twardej pod ich dotykiem. Debora nie mogła opanować drżenia.

To nie ze strachu, pomyślała. Nie boję się Riley'a.

Ale może on się boi? Pobladł nieco, odsunął się i wstał.

Próbowała się roześmiać.

- Właśnie udowodniliśmy, że jesteśmy zdolni - po wiedziała niepewnie, a potem uświadomiła sobie, jak

wiele znaczeń to zdanie mogło nieść. Być cholernymi głupcami, chciała powiedzieć.

- Tak - mruknął Riley. - No dobrze, jeśli nie mamy już nic więcej do roboty... To znaczy, jeśli nie zostało nic więcej do omówienia...

Debora postarała się opanować i wstała.

- Nic więcej - powiedziała. - Do zobaczenia jutro.
- Odwiozę cię do domu.
- Mam tu samochód, Riley.
- Więc odwiozę cię i wrócę na piechotę.
- Ależ nic mi się nie stanie! Przecież w Chicago jeżdżę sama nawet w nocy.

- Będiesz bezpieczna - powiedział spokojnie. - Chyba nie chcesz, żeby Ida zaczęła zadawać pytania na temat twego samotnego powrotu, co?

Na to nie miała odpowiedzi. W milczeniu zeszli po schodach i wsiedli do jaguara. Nie próbował nawet wziąć od niej kluczyków, a gdy zaparkowała samochód pod Lassiter House, musnął tylko wargami jej policzek. Nie towarzyszył jej w długiej wspinaczce na szczyt wzgórza, lecz oparł się o samochód i patrzył, aż bezpiecznie dotarła do drzwi.

Gdy zatrzymała się na tarasie, spojrzała w jego stronę. Był zaledwie cieniem na małym parkingu, a po chwili rozpląnął się w ciemnościach nocy.

Musisz się opanować, pomyślała Debora. Wyraźnie widać, że przeraziłaś tego biedaka śmiertelnie. „Nie tutaj, Riley”. Do diabła, dziewczyno, zachowałeś się jak nienasycona nimfomanka. Twoje szczęście, że nie zareagował! Co byś zrobiła, gdyby złapał cię za słowo i zaniósł do sypialni?

Poddałabyś się, szepnął głos sumienia. I bardzo by ci się to podobało.

ROZDZIAŁ ÓSMY

A to, powiedziała do siebie surowo, byłoby najbardziej idiotyczną rzeczą, jaką mogłabyś zrobić. Pójście z Rileyem do łóżka absolutnie nie wchodzi w rachubę. Niewątpliwie jest atrakcyjny. Rozumiała, dlaczego podoba się kobietom, nawet dlaczego niektóre mogą się w nim zakochać. Ale Debora Ainsley do nich nie należy.

A może jednak?

Miłość? To było niemożliwe, ale przecież...

Nie mogłam się w nim zakochać, pomyślała sobie z rozpaczą. To prawda, że wyrósł na porządnego faceta, chociaż na to się nie zanosilo, ale to nie powód, żeby od razu się zakochiwać. Po prostu utknęłam tu, w Summerset, i tylko do niego mogę mieć zaufanie. Kiedy wrócę do Chicago, do Bristola, będzie mnie śmieszyć myśl, że mogłabym zakochać się w Rileyu.

Bristol. Już z lżejszym sercem skupiła na nim myśli. Dopiero w swoim pokoju przypomniała sobie dziwne uczucie, jakiego doznała, kiedy do niej zatelefonował. Zupełnie jakby dzwonił z innej planety. Jak to możliwe, że zepchnęła Bristola w tak odległy kącik mózgu, że przez dwa dni w ogóle o nim nie pamiętała? Kurort, powiedziała sobie. Ciotka Ida, Preston Powell, Ruth, fundusz powierniczy. Nic dziwnego, że nie miała czasu marzyć o Bristolu.

Oparła się o marmurowy parapet przy otwartym oknie i spojrzała w dół na miasto, w świetle księżyca ciche i spokojne. W tej ciszy nie mogła uciec przed prawdą.

To nie kurort, nie ciotka Ida i nie fundusz odwracały jej myśli od Bristolu. To Riley. Dziś wieczór, gdy z nim była, znów kompletnie zapomniała o Bristolu.

Na dłuższą chwilę jej wzrok spoczął na diamentach Darlene Lassiter, błyszczącym słabo na palcu. Potem, z niespokojnym sercem, rozebrała się w ciemnościach i wślizgnęła do łóżka. Na pewno rano wszystko będzie po staremu.

W niedzielny poranek Debora stwierdziła, że Preston Powell nie spędza jednak całego czasu na polu golfowym. Mimo pokusy pięknego słonecznego dnia, zszedł na dół w ciemnym ubraniu i dołączył do niej i ciotki Idy, gdy usiadły na tylnym siedzeniu starego rolls-royce'a, by udać się do kościoła.

Udało jej się pierwszej wejść do ławki i dzięki temu uniknęła sąsiedztwa Prestona. Kilka minut, pozostających do rozpoczęcia mszy, spędziła na odświeżaniu swoich wspomnień. Stary kamienny kościół nie był ani tak wielki, ani tak przytłaczający, jak jej się wydawało, gdy przychodziła tu jako dziecko. Wypełniały go ozdoby i bogate dekoracje, datujące się jeszcze z wiktoriańskich czasów, a witraże wcale nie były takie okropne.

Organy zaczęły już grać, gdy Riley szybko przemierzył boczną nawę i wsunął się do ławki koło niej. Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały poważne. I nagle Debora zdała sobie sprawę, dlaczego przez cały ranek czuła się niespokojna. To był strach, że Riley w ogóle się nie pokaże, że to, co zaszło między nimi ostatniego wieczoru, wstrząsnęło nim tak głęboko, że wszystko inne przestało się liczyć.

Musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Wczorajsze podejrzenie, że zakochała się w Rileyu, nie było dziełem wyobraźni. To nie hormony ani nuda towarzysząca pobytowi w Summerset pchnęły ją w jego

ramiona. W rzeczywistości było jej wszystko jedno, gdzie jest - byle Riley był z nią. Spokój, jaki czuła w jego obecności, przyjemne uczucie, że nie ma niczego do ukrycia, towarzyszyły rodzącej się miłości, ale egoizm czy też niewinność nie pozwoliły jej ich rozpoznać. Wesoło spędzała czas w jego towarzystwie, nie zdając sobie sprawy, że z każdą chwilą zakochuje się coraz bardziej.

Każdy ma prawo być wielkim głupcem, powiedział Riley. To prawda, pomyślała teraz. Bo czym innym, jak nie głupotą, było zakochanie się w nim?

Spuściła głowę, ale niewiele z mszy do niej docierało. Wyobrażenia przywodziła na myśl obrazy dziesiątków ślubów, na których była. Nie chodziło o wspaniałe dekoracje, muzykę wykonywaną przez zawodowych artystów czy wytworne suknie. Przypominała sobie piękno ceremonii, miłość, która wypełniała kościół, i miękkie światło w oczach mężczyzny, gdy patrzył, jak zbliża się do niego narzeczona...

Spojrzała na lewą dłoń, na pierścionek Darlene Lassiter. Był taki mały, ale znaczył tak wiele dla babki Rileya. Był symbolem miłości, darem człowieka, który ją kochał. I to wystarczyło. Wielkość diamentu nie miała żadnego znaczenia.

Mnie też by to wystarczyło, pomyślała pokornie Debora. Gdyby tylko Riley mnie kochał. Gdyby tyll^o ta przyjaźń, jaką do siebie czujemy, zmieniła się dla niego w coś więcej, tak jak dla mnie.

Nie mogłaby znieść, gdyby poznał prawdę. Nie mogłaby znieść ani jego litości, ani, co gorsza, rozbawienia. Nie mogła pozwolić, żeby odgadł, co się z nią dzieje. Musi się więc bardzo pilnować i za wszelką cenę ukryć swoje uczucia przed człowiekiem, którego kocha.

Debora miała zamiar rozpocząć poszukiwania Freda Milligana z samego rana w poniedziałek, gdy tylko,

jak przypuszczała, w biurze prokuratora stanowego ktoś będzie. Słoneczny budzik w pokoju gościnnym nie zawiódł.

Natomiast nie spodziewała się, że przy śniadaniu natknie się na ciotkę Idę. Debora opadła ostrożnie na krzesło, rzucając ukradkowe spojrzenia na zegarek. Nie, nie przewidziała tego - dla niej samej było bardzo wcześniej, ale ciotka Ida na pewno nie powinna jeszcze siedzieć nad kawą.

- To miło, że chcesz wykorzystać najlepszą porę dnia - powiedziała spokojnie. - Cieszę się, że już wstałaś, Deboro. Chciałabym, żebyś dziś rano coś dla mnie zrobiła.

Debora westchnęła w duchu, nalewając sobie szklankę soku pomarańczowego. Wspaniale, pomyślała. Tego akurat mi dzisiaj trzeba. Muszę koniecznie wydostać się z domu i znaleźć telefon, gdzie nikt mnie nie podsłucha. I co mam zrobić? Jak mogę się wykręcić?

- Miałam zamiar pójść do restauracji - powiedziała.

Ida machnęła ręką, jakby usuwając jej obiekcje.

- Otworzy się dopiero za parę godzin, a ty chyba możesz nieco opóźnić swoje plany. Henry wychodzi na zakupy, a Preston...

- Wiem - wtrąciła Debora ponuro. - Jest na polu golfowym, odbijając sobie wczorajszą beczyność.

Ida spojrzała na nią ostro.

- Tak się składa, że jest w Paradise Valley, ale to nie ma nic do rzeczy. Ktoś musi być w domu, żeby wpuścić agenta od nieruchomości.

Debora o mało co nie zakrztusiła się sokiem pomarańczowym.

- Czy... to znaczy, że ktoś przychodzi obejrzeć Lassiter House? Dzisiaj?

- A czemu nie? - spytała sztywno Ida. - Sama bym się tym zajęła, ale powiedziano mi, że lepiej,

kiedy właściciel jest nieobecny przy oglądaniu domu przez potencjalnych kupców. Chodzi tylko o to, żeby ich wpuścić. Nie musisz nikogo oprowadzać. - Ciotka Ida wytarła usta lnianą serwetką i wstała od stołu.

- Doceniam twoją pomoc, Deboro.

Gdy Debora przemyślała nową sytuację, doszła do wniosku, że nie jest wcale tak źle. Kiedy Ida wyjdzie, będzie przecież mogła zadzwonić z Lassiter House. Była w tym nawet jakaś sprawiedliwość i nieco czarnego humoru - rachunek za telefon do Freda Milligana pokryje ciotka.

Ida zatrzymała się przy drzwiach.

- Miałam cię o coś zapytać, Deboro - powiedziała.

- Ta twoja galeria w Chicago - oczywiście pozbędziesz się jej?

Nie było to właściwie pytanie. Pomimo ostrzeżeń Rileya, Debora czuła, jak włosy stają jej dęba.

- A czemu? - odpowiedziała spokojnie. - Może po prostu znajdę współnika, który przejmie galerię w Chicago, a sama otworzę filię tutaj.

- Wspaniały pomysł - powiedziała Ida unosząc brwi. - Zapewne w tym pustym budynku Rileya? Cieszę się, że myślałaś o tym. Tak będzie lepiej, niż gdybyś miała pracować dla niego jako hostessa, czy coś w tym rodzaju, do czasu przyścia na świat dzieci.

- Uśmiechnęła się z aprobatą i odeszła w stronę kuchni, wołając Henry'ego.

Debora piła powoli sok, czekając, aż Ida wyjdzie z domu. Bez przerwy muszę ćwiczyć cierpliwość, pomyślała. Niewątpliwie przyda mi się to kiedyś.

Czuła jednak pewien smutek na myśl, że bez względu na rozwój wydarzeń wkrótce będzie musiała wyjechać. Wróci do Chicago, a tych kilka dni spędzonych w Summerset stanie się historią. Z czasem zatra się w jej pamięci.

A na wierzbie wyrosną gruszki, pomyślała cierpko.

Nie będzie tak łatwo zapomnieć tego dnia na farmie, ani długich, ciepłych wieczorów spędzanych z Rileyem. Nawet wczoraj, w kościele, a potem w czasie popołudnia w Lassiter House, mimo uczucia skrepowania, zdarzały im się chwile ciepłej harmonii, wspólnego śmiechu i radości.

Cudem udało się Deborze dodzwonić do Freda Milligana już za drugim razem, chyba tylko dlatego, że mówiła bardzo szybko i podała jego sekretarce nazwisko Idy. Fred Milligan słuchał jej w tak całkowitym milczeniu, że zaczęła się zastanawiać, czy tam w ogóle jest, czy odłożył słuchawkę?

Przerwała w połowie zdania.

- Halo, proszę pana? - spytała niespokojnie.
- Jestem tutaj - mruknął. - Dotychczas powiedziała mi pani, że Ida straciła całkowicie rozeznanie w interesach, ale naprawdę nie rozumiem, dlaczego chce mnie pani w to wplątać.

- Przecież na pewno ma pan na nią jakiś wpływ!
- Może mam, a może nie. To jej sprawy, proszę pani.

- Nie całkiem - powiedziała Debora zdecydowanie.
- Ach, tak. Chyba doszliśmy do sedna sprawy. Tak naprawdę, to boi się pani o swój fundusz, tak?

- To nie przestępstwo, że chcę go uchronić - powiedziała ostro, ale ugryzła się w język. - Nie czatuję na fortunę, proszę pana. Martwię się o ciotkę i o to, jak zareaguje, gdy Preston Powell zniknie z gotówką. Nie jest już młoda, a taki szok...

Zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Debora spojrzała nieprzytomnie w kierunku wejścia i stwierdziła, że agent musi poczekać. Oparła łokieć na małym stoliku, na którym stał telefon, i przysłoniła słuchawkę dłonią.

- Uchronienie kapitału jest, oczywiście, istotne - mówiła dalej. - Ale nie tylko to jest dla mnie ważne. Nie chcę, żeby ktoś oszukał i zranił ciotkę Idę.

Fred Milligan odchrząknął.

- Dobrze, porozmawiam * nią, gdy tylko będę mógł - powiedział w końcu, najwyraźniej zrezygnowany.

- Jestem panu bardzo wdzięczna...

- Proszę mi nie dziękować - przerwał krótko. - *Jeszcze nic nie zrobiłem i nie jestem pewien, czy zrobię.* To znaczy poza porozmawianiem z nią.

- Tylko o to prosiłam - powiedziała Debora zjadliwie. Odłożyła słuchawkę, ale ją ubiegł.

Dzwonek rozległ się ponownie, tym razem dłużej i głośniejszy. Zakłęła pod nosem i pospieszyła do drzwi.

Agent od nieruchomości wciąż naciskał guzik dzwonka, gdy Debora otworzyła drzwi. Potencjalni nabywcy, małżeństwo pod czterdziestkę, stali na tarasie, przyglądając się przez lornetkę dachowi. Gdy tylko weszli do środka, kobieta zmarszczyła nos i powiedziała coś na temat stęchłego zapachu. Debora sama myślała o tym setki razy, ale taka uwaga ze strony kogoś obcego wcale jej się nie spodobała. Chętnie wyrzuciłaby kobietę *a drzwi. Zamiast tego uśmiechnęła się uprzejmie i wycofała na krzesło przy telefonie, podczas gdy agent i klienci rozpoczęli zwiedzanie domu.

Zadzwoiła do galerii. Peggy nie od razu odpowiedziała.

- Zadzwoń później, jeśli jesteś zajęta - zaproponowała Debora.

- Nie - to znaczy, żadnych klientów teraz nie ma. Rozpakowywałam tylko rzeźby, które przysłało właśnie z Michigan.

- I jak to wygląda?

- Wspaniale, moim zdaniem. Tych rzeźb jest strasznie dużo i nie mam gdzie ich ustawić. Myślałaś kiedyś o wynajęciu sąsiedniego lokalu?

- Często. Ale wiesz, jakie są koszty najmu.

- Wiem - powiedziała Peggy z rezygnacją. - No cóż, jakoś to wszystko upchnę. Kiedy wracasz?

Debora zmusiła się do śmiechu.

- Nie martw się, dam ci jeszcze parę dni na uporządkowanie wszystkiego. - Odłożyła słuchawkę i siedziała, myśląc ponuro, że jeśli Ida uprze się przy swoich zamiarach, to Galeria Ainsley nie tylko się nie rozwinie, ale pewnie będzie musiała przenieść się do mniejszego i gorszego lokalu. Nie była to przyjemna myśl, więc, żeby poprawić sobie humor, zadzwoniła do ojca.

- Cześć, kochanie. Czy chcesz, żeby coś ci przywieźć?

- Przyjeżdżasz do Summerset? Tatusiu, czy to rozsądne?

- Ida nic ci nie powiedziała? Zadzwoniła do mnie wczoraj i oświadczyła, że jej zdaniem powinienem być przy waszej rozmowie z pastorem jak-mu-tam. Oczywiście zgodziłem się - parsknął śmiechem. - Najwyraźniej ty i Riley przekonaliście ją całkowicie.

- Chyba tak - jęknęła Debora. - Szkoda, że nie byłeś tu wczoraj, kiedy stwierdziła, że wszyscy goście nie pomieszczą się w kościele, więc może powinniśmy wynająć aulę w szkole. Tatusiu, ja już dłużej nie wytrzymam. Masz jakieś wpływy we władzach stanowych, prawda?

- No, może jakieś. Ale...

Opowiedziała mu o Fredzie Milliganie.

- Gdybyś mógł napomknąć, że twój przyjaciel gubernator wyrzuci go z pracy, jeśli nam nie pomoże...

- Najwyraźniej jesteś żadna krwi. Zobaczą, co mi się uda zrobić. Będę tam jutro, kochanie, więc na razie. Jeśli musisz, to wypłacz się na ramieniu Riley'a, ale nie mów nic Idzie. Wszystko będzie dobrze. To przecież tylko doraźne rozwiązanie i wypłaczesz się z tego już wkrótce.

Wypłacz się na ramieniu Riley'a? - pomyślała Debora

z rozpaczą. Jedyne, co skłaniało ją do płaczu to świadomość, że wcale nie chciała się z tego „wyplątywać”. Gdyby tylko zmienić parę szczegółów, to zaręczyny nie byłyby koszmarem, ale spełnionym marzeniem.

Niemal zapomniała o zwiedzających dom klientach. Dopiero odgłos ich kroków na schodach przywrócił ją do rzeczywistości. W panującej tu ciszy Debora słyszała każde słowo.

- Nie jest doskonały - mówiła kobieta - ale ma urok. W pewnym sensie fakt, że nigdy go nie modernizowano, jest korzystny.

Debora chciała wrzeszczeć. Miała nadzieję, że Fredowi Milliganowi uda się dzisiaj jeszcze porozmawiać z ciotką Idą. Jutro może być za późno.

Ponieważ telefonowała z Lassiter House, właściwie nie miała powodu jechać do restauracji, ale i tak się tam znalazła. Riley będzie chciał wiedzieć, co osiągnęłam, powiedziała do siebie, odpędzając myśl, że właściwie nie ma o czym mówić, więc do magazynu przywiodła ją jedynie chęć spotkania.

Riley siedział w biurze. Jego biurko było zavalone fakturami, rachunkami i listami płac. Miał rozwichrzone włosy - najwyraźniej nie raz przeczesał je palcami.

Nie wysilił się nawet, żeby się z nią przywitać.

- Możesz skorzystać z telefonu w barze. Nikogo tam nie ma, a ja muszę odwalić dziś rano całą księgową robotę.

Debora odsunęła delikatnie papiery z rogu biurka i przysiadła na opróżnionym miejscu.

- Widzę, że to twoje ulubione zajęcie - powiedziała, wskazując na papiery. - Jesteś taki radosny.

- Wzięcie kilku dni wolnych nie jest tego warte - parsknął. - Potem robi się tyle zaległości.

- Wiem coś o tym - powiedziała, myśląc z niechęcią,

jak wygląda jej biurko w galerii. - Nie potrzebuję telefonu. Rozmawiałam już z panem Milliganem.

- I? - Spojrzał na nią wyczekująco.

- Obiecał porozmawiać z ciotką Idą.

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, potem jego twarz rozjaśnił ciepły uśmiech.

- Wspaniała z ciebie dziewczyna!

Poczuła się tak, jakby wygrała los na loterii i dopiero po chwili przypomniała sobie, że wcale nie była tak pewna sukcesu, jak Riley. Ale zanim zdążyła go ostrzec, że Fred Milligan właściwie nie obiecał im pomocy, Riley znów złapał za pióro.

- Mary Beth i Rod wydają tu dzisiaj przyjęcie - powiedział, sięgając po następną kopertę. - Chcą, żebyśmy przyszli.

- Wspaniale - mruknęła Debora. - Tylko tego trzeba, żeby ludzie zadawali mi głupie pytania.

- Chyba nie musimy iść, ale Mary Beth nalegała.

- No jasne. - Gdy Mary Beth czegoś chciała, słowo „nalegać” nabierało nowego znaczenia.

Debora dostrzegła pod łokciem Rileya grubą kopertę, zaadresowaną, jak jej się zdawało, charakterem pisma ojca. Spróbowała obrócić głowę, żeby lepiej się przyjrzeć.

- Mówiła, że usiłowała zadzwonić do ciebie do Lassiter House, ale było ciągle zajęte.

Riley poruszył ręką i koperta spadła na podłogę.

- Co cię tak ponuro nastroiło dziś rano? Aha, ludzie zadający głupie pytania. Czy Ida znowu cię męczyła?

- Dlaczego tak sądzisz? - Ton jej głosu był lekko ironiczny. - Od wczorajszego wybuchu była dość spokojna. No, zaaprobowała moje plany, żeby w twoim dodatkowym budynku otworzyć galerię, ale poza tym...

Riley odchylił się na krześle i oparł nogi na brzegu biurka.

- To wcale nie jest zły pomysł - stwierdził z namysłem. - Galeria wysokiej klasy, może nie tak wytworna jak twoja chicagowska, ale w podobnym stylu.

To brzmiało wspaniale. Debora ujrzała ją, nawet nie zamykając oczu. Odtworzona Galeria Ainsley powstała w jej głowie w ułamku sekundy. Może zająć całą kondygnację. Wysokie sufity, naturalne światło i mnóstwo przestrzeni. Przestrzeni, na którą w Chicago nigdy nie mogłaby sobie pozwolić.

To niemożliwe, napomniała się. Bo czy galeria zostanie tam, gdzie jest, czy nie, to i tak będzie w Chicago. Nie w Summerset.

- Remont kosztowałby masę pieniędzy - powiedziała.

- To nie problem, jeśli Ida cię poprze.

- O czym ty mówisz?

Usiadł prosto i zaczął grzebać w papierach na biurku.

- Gdzieś to mam... Przed chwilą czytałem.

- Jeśli mówisz o kopii dokumentów funduszu, którą przysłał tata - powiedziała chłodno - to zdaje się, że znajdziesz ją pod krzesłem. I co to znaczy, że czytałeś?

Uśmiechnął się.

- No, koperta była zaadresowana do mnie - oświadczył. - Co więcej, jest na niej napisane „do rąk własnych”. - Pochylił się, by podnieść list i podał jej szerokim gestem. - Fundusz zezwala ci podjąć gotówkę na rozwój interesów, jeśli kuratorzy zaaprobuja.

Debora wyrwała mu kopertę z ręki.

- Nikt mi nigdy tego nie mówił!

- Może Idzie nie podobało się to, co robisz w Chicago. - Wzruszył ramionami.

Zagłębiła się w dokument, składający się z kilku stron ciasno zapisanych prawniczym żargonem.

- To niesłychane - powiedziała. - Nic dziwnego,

że tatuś zawsze zostawia te sprawy prawnikom. Posłuchaj tylko... Riley przerwał wypisywanie czeku i spojrzał na nią.

- Już to czytałem - oświadczył. - Wszystko. Czy mogłabyś to robić gdzie indziej? Jesteś niewątpliwie bardzo atrakcyjnym przyciskiem do papierów, ale ja naprawdę muszę zająć się pracą.

- Och, przepraszam - powiedziała słodko, ześlizgując się z biurka. - Sądziłam, że to ważne.

Nawet jej nie odpowiedział, więc urażona wycofała się z biura przez restaurację do samochodu.

Nie bądź śmieszna, powiedziała do siebie. Facet ma robotę, a jest spóźniony, bo rano przez godzinę czy dwie musiał bawić się w odcyfrowywanie tych bazgrołów. Rzuciła kopertę na półkę w samochodzie.

O co ci właściwie chodzi? O to, że nawet cię nie pocałował?

Zatkało ją na moment, gdy uświadomiła sobie, że właśnie o to.

Zapamiętaj to sobie, stwierdziła stanowczo. Dobrze to sobie zapamiętaj. Dzisiaj nie było publiczności, na której musiałby robić wrażenie, a najwyraźniej przeprowadził już wszystkie „badania”, jakie mu były potrzebne. Więc przestał wykorzystywać swoje prawo do bycia cholernym głupcem...

Pomachała do Aleca, który prowadził rower po głównej ulicy, i dopiero po przejechaniu kilkudziesięciu metrów uświadomiła sobie, że przednie koło jego roweru było bez powietrza - najwyraźniej złapał gumę. Zawróciła i zatrzymała się obok niego.

- Może cię podwieźć?

Wspólnymi siłami udało im się wepchnąć rower do samochodu. Ruth pielila rabatkę koło wejścia. Spojrzała na nich z niepokojem.

- Znowu złapałeś gumę, Alec?

- Nie martw się, mamusiu. Mam wszystko, czego mi potrzeba do załatania.

- Ta dętka niedługo będzie się składać z samych łat - westchnęła Ruth, ale Alec zniknął już za rogiem domu. - Dziękuję, że go pani podwiozła - powiedziała zdejmując rękawiczki. - Może kawy?

Debora musiała chyba zrobić zdziwioną minę, bo Ruth dodała nieśmiało:

- To brzmi głupio, gdy jest taki upał, ale stwierdziłam, że gorący napój ochładza.

- Spróbuję. Dzięki.

W domu było przyjemnie i wyraźnie chłodniej niż na dworze. Przez otwarte okna kuchni wpadał lekki wietrzyk. Debora usiadła przy małym stoliku, niepewna, czy odważy się poruszyć temat Paradise Valley.

Ruth odsunęła na bok szkicownik i pudełko tanich akwareli, i postawiła na stole dwa kubki. Szukając sposobu na przełamanie lodów, Debora wskazała farby.

- Nie sądziłam, że Alec kiedykolwiek usiedzi na miejscu na tyle długo, żeby coś namalować.

- Bo nie usiedzi - powiedziała Ruth nieco sztywno.

- To ja maluję. Dla zabicia czasu. Dni wydają się niekiedy takie długie.

- Mogę zobaczyć? - spytała odruchowo i otworzyła szkicownik, zanim zdała sobie sprawę, że nie było odpowiedzi.

Ruth zacisnęła wargi, ale po chwili powiedziała spokojnie:

- Jeśli pani chce.

Kiedy ty się nauczysz? - skarciła się Debora. Powiedziała, że to tylko dla zabicia czasu. Oczywiście, że nie chce ci pokazać. Wiele osób nie chce. Zaś inni

- no cóż, sam fakt, że Debora Ainsley poprosiła o pokazanie rysunków sprawił, że niejeden amator uwierzył w swój talent. To było nawet gorsze.

Rzuć okiem na rysunki, powiedz coś niezobowiązującego i wyńś się stąd, zanim będziesz miała następny atak braku taktu, pomyślała sobie.

Zerknęła. Potem zdecydowanie odstawiła kubek na bok, przyciągnęła szkicownik do siebie i długo, z namysłem przyglądała się każdej kartce. Mała dziewczynka ze skakanką, chłopiec z kotem na ramionach, dziecko w skafandrze z kapturem, brodzące przez kałuże.

Spojrzała na Ruth.

- Tylko dla zabicia czasu? - spytała surowo.

Ruth zarumieniła się.

- No... nie całkiem - przyznała.

- Mam nadzieję. Powinna się pani wstydzić tak mówić. Nic dziwnego, że spytała mnie pani o galerię.

- Myślałam, że może zbiorę się na odwagę i poproszę, żeby spojrzała pani na to, co robię... Ale pani powiedziała, że zamyka galerię, więc... - Ruth sięgnęła po szkicownik.

Debora odsunęła go poza zasięg ręki Ruth i wyjęła jeden z większych rysunków. Była na nim mała dziewczynka, siedząca przy miniaturowym stolczku z gośćmi - misiem, lalką i pieskiem.

- Ten chciałabym kupić - powiedziała.

- Ja... ja nigdy niczego nie sprzedawałam - przyznała Ruth. - Nie wiem nawet, ile to jest warte.

- Niech mi pani wierzy, ja wiem - stwierdziła Debora zdecydowanie i wymieniła sumę. - A jeśli chodzi o resztę...

Ruth z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Może jeszcze kawy? - spytała.

- Niech pani zaparzy cały dzbanek - powiedziała Debora. - Musimy porozmawiać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Debora patrzyła zafascynowana, jak Ruth młodziej w oczach, w miarę jak zaczyna dostrzegać nowy, otwierający się przed nią świat. Równocześnie zauważyła jej niepokój.

- A jeśli nie będę umiała tego zrobić? - spytała w końcu niemal szeptem.

- Już to pani robi - odparła Debora. - W razie kłopotów proszę sobie wyobrazić, że to tylko dla zabicia czasu!

Zastanawiała się, czy nie wpaść jeszcze raz do restauracji, ale w końcu pojechała prosto do Lassiter House. Riley najwyraźniej nie pragnął jej towarzystwa, a Debora nie czuła się na siłach, by znieść jego niechęć. Poza tym to Ruth powinna mieć frajdę z powiedzenia Rileyowi dobrych wieści - albo z zachowania ich w sekrecie.

Westchnęła. Może i dobrze, że nie poruszyła tematu Paradise Valley i nie naraziła na szwank krucho porozumienia, jakie się zawiązało między nimi. Bez względu na to, co się stanie z kurortem, Ruth i Alec nie znajdą się bez grosza, jak długo ona będzie malować.

To brzmi cynicznie, pomyślała Debora. Nie poddawaj się jeszcze. Może Fredowi Milliganowi uda się wszystko załatwić. A może ciotka Ida nagle zmądrzeje, a Prestona Powella zaczną męczyć wyrzuty sumienia i odda wszystkim pieniądze, zakpiła.

Rozumiała oczywiście, co ją naprawdę dręczy, więc po powrocie do domu wyciągnęła się na leżaku koło basenu i wygłosiła do siebie stanowcze kazanie.

To przejdzie, stwierdziła zdecydowanie. To zafascynowanie Rileyem zniknie. Nic dziwnego, że tak się stało, ale jak stąd wyjedziesz, wszystko wróci do normy. Wiedziałaś przecież, że to tylko doraźne rozwiązanie.

Westchnęła i zakryła dłońmi oczy.

To najgłupsze zauroczenie, jakie mogło ci się przydarzyć, przekonywała siebie. Jak możesz kochać człowieka, którego przeważnie zdecydowanie nie lubisz?

Wcale tak nie jest, poprawiła się. A chociaż nie jest to normalny, płomienny romans...

Nie oszukuj się, mruknęła. Jeśli to, co zdarzyło się w jego mieszkaniu w sobotni wieczór, nie było zapowiedzią płomiennego romansu, to Debora Ainsley nic nie wie o płomiennych romansach.

Pogrzywała się w rozpamiętywaniu jego pocałunków i dreszczu podniecenia, jaki poczuła, gdy wziął ją w ramiona. A potem usiadła i przypomniała sobie, że choć Riley niewątpliwie podzielał tę przyjemność, to jego późniejsza reakcja była zupełnie inna. Chciał się jej pozbyć jak najprędzej, a od tego czasu niemal jej nie dotknął.

Kiedyś powiedział, że nie ożeni się z nią za żadne pieniądze. Najwyraźniej zastanawiał się nad tym i stwierdził, że cena byłaby dla niego nie do przyjęcia.

To tylko zauroczenie, powtórzyła. Nie możesz kochać się w kims, kto blednie na sam twój widok!

W głębi duszy była świadoma, że zauroczenie czy zakochanie to ogień, który płonie gwałtownie i szybko się wypala. Natomiast to, co czuje do Rileya, to raczej żar - może nie wybuchający wysokim płomieniem, ale płonący stale, równo i zawsze.

I nawet jeśli przedtem miała jakąś szansę, by przestać go kochać, to teraz było już za późno.

Gdy Mary Beth wydaje przyjęcie, nie marnuje wysiłku na małe, myślała wieczorem Debora. Dwie

mniejsze sale jadalne, których okna wychodziły na rzekę, zostały połączone w jedną przestrzeń, zapchana przyjaciółmi Mary Beth do tego stopnia, że można było dostać klaustrofobii. Debora podejrzewała, że gdyby był tam jeszcze trzeci pokój, wypełniłaby go z powodzeniem.

- Jesteś bardzo zamyślona - zamruczał Riley stając koło niej.

Próbowała się uśmiechnąć.

- Właśnie myślałam, że gdyby ślub naprawdę miał się odbyć, byłbyś zmuszony wykończyć tę wyższą kondygnację. Czy ciotka Ida nie wypytywała cię jeszcze, kiedy zaczynasz i jak długo potrwa remont?

Spojrzał niespokojnie przez ramię.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Będę się trzymał od niej z daleka.

- To znaczy, że Ida tu jest? - Debora była zdumiona.

- Przyszło mi do głowy, że to dość dziwna zbieranina ludzi, ale nie spodziewałam się, że ciotka należy do przyjaciół Mary Beth!

- Nazywanie ich przyjaciółmi jest chyba nieco na wyrost. Są tu również klienci Roda - zauważył Riley.

- Preston Powell też przyszedł. Mary Beth dokładnie śledzi układy sił w naszym małym mieście i pilnuje, żeby nikogo nie pominąć.

- Ach, to dlatego tak mnie prezentowała? Zaczynałam już się czuć jak jakaś ciekawostka zoologiczna.

- Nie przejmuj się. To pewnie jej próba generalna przed ślubem.

- Zawsze potrafisz mnie pocieszyć, Riley. - W jej głosie słychać było nutę sarkazmu. To lepsze niż łzy.

Musiała przyznać, że jej nerwy były napięte do ostateczności. Męką było stanie przy nim i publiczne odgrywanie roli zakochanej narzeczonej, kiedy tata bardzo chciała, żeby nie była to tylko maskarada. Ala

jeszcze trudniej było odgrywać rolę nieco cynicznej Debory, zawsze skłonnej do przekomarzania się z kuzynem Rileyem, skoro naprawdę chciała rzucić mu się w ramiona i poprosić, żeby ją kochał.

Z ulgą przyjęła słowa Riley'a, że musi opuścić ją na chwilę, by zajrzeć do głównej sali restauracyjnej. Znikł na blisko godzinę. Zaczynała się już denerwować jego nieobecnością.

Do diabła, Deboro! - skarciła się. Może byś się na coś zdecydowała!

Zorientowała się nagle, że tłum ludzi uciszył się, a większość z nich stanęła w miejscu, zbijając się w grupki. Wszyscy patrzyli z oczekiwaniem na Mary Beth, która podeszła do jednego z okien z małym dzwoneczkiem w ręku i przywołała do siebie Deborę i Riley'a.

- Teraz, kiedy nasi honorowi goście są już tutaj, przejdźmy do sedna tego przyjęcia! - wykrzyknęła Mary Beth, energicznie potrząsając dzwoneczkiem. Podwójne drzwi otworzyły się, a Ruth wtoczyła wielki wózek, na którym piętrzyły się paczki i pudełka, wszystkie kolorowo opakowane i przewiązane wstążkami - prezenty od przyjaciół dla przyszłych młodożeńców.

Debora o mało nie jęknęła. Spojrzała na Riley'a, ale on wyglądał na równie zaskoczonego. Mimo to poczuła przypływ złości. Mary Beth była jego siostrą - powinien wiedzieć, do czego jest zdolna!

Ale ona uśmiechała się od ucha do ucha.

- Nie spodziewaliście się tego, prawda? - powie działa chichocząc. - Jestem taka dumna ze wszystkich. Nikt się nie wygadał!

Debora spojrzała podejrzliwie na Riley'a.

- Czekaj no - szepnęła. - Mówiłeś, że idziesz do głównej sali. Jak mogłeś o tym nie wiedzieć? Jak mogłeś nie zauważyć tego stosu paczek?

- Nie udało mi się stąd wyjść. Rod miał do mnie jak;|ś sprawę - westchnął. - Do jasnej cholery, powinienem był przewidzieć!

- No właśnie. Powinieneś. I co teraz zrobimy? Pokłócimy się głośno, otwarcie i ostatecznie?

- Rozpakujemy prezenty, podziękujemy i będziemy się miło uśmiechać.

- Tylko zapamiętaj, od kogo jest jaki prezent - mruknęła Debora, wściekła. - Bo tobie przypadnie przyjemność zwracania ich!

Żaden koszmar nie przyprawiłby ją o takie zawroty głowy, jak te prezenty. Rozpakowując pudełko z kryształową wazą, ręcznie haftowaną poduszką czy kompletem serwetek, zaciskała zęby, by uciec przed wizją urzędowania mieszkania na najwyższym poziomie. Udało jej się nawet roześmiać, dziękując za komplet pościeli z czerwonej satyny, podczas gdy serce biło boleśnie na myśl o nocy poślubnej, która nigdy się nie odbędzie. Zrobiła co w jej mocy, by wyglądać na zażenowaną, gdy Riley - to oczywiście on musiał otworzyć tę paczuszkę - wyciągnął czarną, koronkową koszulę nocną, a ktoś w głębi pokoju zawołał:

- Myślałem, że prezenty mają być dla nich obojga!

- Nie martw się - zapewnił Riley krzykacza, rzucając Deborze tęskne spojrzenie. - Będę się z tego cieszył tak samo, jak Debbie. - Po czym pocałował ją długo i delikatnie.

Przez moment miała ochotę udusić go jego własną muszką, ale zanim zdecydowała się wykonać jakiś ruch, kątem oka dostrzegła chwilowe zamieszanie przy drzwiach. Do pokoju wkroczył William Ainsley, a jego siwe włosy rozsrebrzyły się w blasku żyrandola.

- Tatuś? - mruknęła, zaskoczona. - Przecież miał przyjechać dopiero jutro!

- Najwyraźniej zapomnieliś poinformować mnie o jego przyjeździe, Deb - powiedział cicho Riley.

- Pamiętałabym, gdybyś dziś rano nie spławił mnie tak szybko. - Odłożyła trzymane w rękach duże pudełko i wstała. - Tatusiu! - zawołała i pospieszyła na powitanie, wspinając się na palce, żeby ucałować jego policzek. W tym momencie zdała sobie sprawę, że za jej ojcem do pokoju wszedł jeszcze ktoś, kogo nie powinno tu wcale być. Ani tego wieczoru, ani jutro, ani nigdy.

- I przywiozłeś z sobą Bristola - wyjąkała. - Jak... miło cię widzieć.

Riley złapał dłoń Bristola i zaczął nią potrząsać długo i serdecznie. Pod osłoną tego głośnego i entuzjastycznego powitania, Debora szepnęła:

- Tatusiu, jak mogłeś mi to zrobić!

- Pojawił się u mnie w biurze dziś po południu. - William wrzucił ramionami. - Miał zamiar tu jechać i chciał dostać adres Idy. Nie mogłem go powstrzymać, więc doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jak z nim przyjadę - skończył nieszczęśliwym tonem.

Spojrzała na niego wrogo.

- Mam nadzieję, że mu wszystko wytłumaczyłeś.

- Oczywiście. Ale przyznaję, że nie byłem przygotowany na wyjaśnianie takich rzeczy. - Wskazał stół założony pudełkami i prezentami. - Co tu się dzieje, Deboro?

Mimo wysiłków Rileya, by go przytrzymać, Bristol wyswobodził się. Popatrzył surowo na Deborę, ale nie usiłował pocałować jej w policzek ani w ogóle dotknąć.

- Deboro, gdzie jest twoja ciotka, Ida? Muszę z nią natychmiast porozmawiać o moich odkryciach.

- Jakich odkryciach? - spytał Riley.

- Dowiedziałeś się czegoś o Paradise Valley?

Bristol wyprostował się jeszcze bardziej.

- Deboro, czas ucieka - powiedział. - Gdzie jest twoja ciotka?

- Tam... - machnęła ręką w stronę okna.
- Co tu się dzieje? - Tuż koło ucha usłyszała zgrzytliwy głos. - Williamie, czy zawsze musisz wsadzać nos w sprawy, które cię nie dotyczą? Zostałeś zaproszony na jutro. I kogóż to przywiozłeś z sobą?
- Och - przemówiła Debora słabym głosem: - Cio-ciu Ido, to jest Bristol.
- Bristol uklonił się sztywno.
- Szanowna pani - rozpoczął - jestem znajomym Debory...
- Znajomym? - szepnął Riley. - Wygląda na to, Deb, że skreślił cię z listy.
- Z całej siły nastąpiła mu na nogę.
- Przyjechałem aż z San Francisco, żeby z panią porozmawiać. Najpierw, gdy Debora poprosiła mnie, bym postarał się dowiedzieć czegoś o planach budowy kurortu w Paradise Valley...
- Prosiłaś go o to, Deboro? - Riley już nie szeptał. Ale i tak nikt stojący nieco dalej nie mógł go usłyszeć, bo zebrani goście nagle poruszyli się z pełnym zainteresowania szmerem.
- Nie interesuje mnie dyskusja... - zaczęła Ida.
- W każdym razie nie tutaj - powiedział pospieszenie Riley. Jedną ręką przytrzymał Idę, drugą Bristola i poprowadził ich w stronę drzwi. - Deb, zawołaj ślisk... to znaczy, poproś Powella, żeby do nas dołączył.
- Preston Powell wzruszył ramionami i poszedł za Debora i Williamem. Bristol mówił dalej:
- To oszustwo mnie szokuje i przeraża. Nie miałem pojęcia, że takie rzeczy się zdarzają...
- Riley zamknął za nimi drzwi, odcinając ich od podnieconych szeptów w pokoju. Hol nie był duży i gdy wszyscy stanęli, wydał się bardzo zatłoczony.
- Bristol nie musiał nawet podnosić głosu. Ida zdała sobie chyba sprawę, że go nie powstrzyma, więc tylko patrzyła wrogo, gdy przekazywał zebrane informacje.

Najwyraźniej cała ta sprawa go zainteresowała. Debora stwierdziła, że nigdy nie widziała go tak ożywionego.

Preston Powell oparł się o drzwi, uśmiechając się pod nosem i co jakiś czas smutno kręcił głową.

W końcu Bristol przerwał, bardzo poruszony. Ida zmarszczyła brwi.

Wygląda na zmieszaną, pomyślała Debora. To dobrze. Bristol podważył jej zaufanie do Powella.

Preston Powell nie ruszył się.

- To bardzo ciekawe - powiedział. - Bardzo dramatycznie przedstawione. Tylko że to właśnie to - przedstawienie. Nie ma pan prawa mnie oskarżać. Jestem uczciwym, ciężko pracującym obywatelem, którego nigdy za nic nie skazano. A teraz, jeśli można, chciałbym wrócić na przyjęcie. Ida?

Deborę zatkało. Czy naprawdę jest tak pewien ciotki, że nawet nie ma zamiaru się bronić?

- Ciociu Ido, proszę! - błagała, chwytając ją za łokieć. - Musisz go wysłuchać.

Ida uwolniła rękę.

- Nie, Deboro, nie muszę. Poprosiłam już mego radcę prawnego o rozpatrzenie tej sprawy.

- Roda? To nic nie da! Jest tak przekonany o wspaniałości projektu, że nie może być obiektywny!

- Z poczuciem winy Debora obejrzała się przez ramię, niespokojna, czy Mary Beth nie wyszła za nimi do holu i nie usłyszała nietaktownej uwagi. Ale to i tak nie miało znaczenia - przecież nie zostanie jej szwagierką.

- Nie, nie mówię o Rodzie - stwierdziła Ida bardzo wyraźnie. - Rod to miły młody człowiek, ale nie ma doświadczenia w takich sprawach. Mówię o moim poprzednim prawniku. Pan Milligan wciąż od czasu do czasu służy mi radą. Nawet dzwonił do mnie dziś po południu.

Pod Deborą ugięły się nogi. Poczciwy stary Fred, pomyślała. Jednak stanął po mojej stronie!

- Przyjeżdża jutro, by przejrzeć sprawozdania finansowe i... jak to się nazywa, Preston? Aha, prospekty ofertowe, dobrze mówię?

Debora odwróciła się, by z triumfem spojrzeć na Powella i nie spuszczała go z oczu, gdy Ida mówiła dalej.

- Spodziewam się, że przyjmiecie opinię pana Milligana, gdy się już ze wszystkim zapozna. Pracuje w wydziale oszustw finansowych w biurze prokuratora stanowego i cały czas zajmuje się podobnymi sprawami.

Preston Powell zbladł gwałtownie, nie mogąc wymówić słowa.

- Ida - wykrztusił w końcu. - Powinnaś była mnie ostrzec... - Powinnaś była mnie powiadomić, żebym mógł się przygotować do prezentacji.

Ciotka z troską zmarszczyła brwi.

- Czyżbym zapomniała ci powiedzieć o przyjeździe pana Milligana, Preston? Och, to przeoczenie z mojej strony. Ale tyle było dziś do zrobienia, ta sprzedaż Lassiter House i...

Nawet William nie powstrzymał się od okrzyku. Paradise Valley została na chwilę zapomniana.

Debora wzniosła oczy do nieba i przysiadła na najbliższym kaloryferze. Nie mogła zaufać kolanom w przypadku następnej niespodzianki. Ida uniosła rękę do swego aparatu słuchowego.

- Moglibyście przestać? - powiedziała zrzędliwie.

- Gdy wszyscy mówicie naraz, boli mnie ucho. Pan Powell uważa, że powinniśmy porozmawiać, a ja jestem zmęczona, więc chyba pójdziemy do domu.

Debora ześlizgnęła się z kaloryfera.

- Ciociu - błagała rozpaczliwie - nie rozmawiaj z nim!

- Czemu nie? - Ida była zdumiona.
- A przynajmniej poczekaj do przyjazdu Freda Milligana.

- Znasz Freda, Deboro? To taki inteligentny człowiek, prawda? Teraz naprawdę muszę już iść. Bawcie się dobrze.

Debora spróbowała jeszcze raz ją przekonać.

- Jeśli koniecznie chcesz, to przynajmniej weź z sobą Bristola, ciociu - powiedziała. - On może dopilnować twoich interesów.

- Moich interesów? - spytała surowo ciotka. - A cóż ja wiem o tym człowieku, Deboro, poza tym, że w niegrzeczny sposób wdarł się na prywatne przyjęcie i wytoczył kilka bardzo poważnych oskarżeń bez żadnych dowodów? Nie będę zajmować czasu tego pana moimi interesami.

Na to nie było odpowiedzi. Zanim Debora zdołała znowu otworzyć usta, Ida i Preston Powell wyszli.

Oparła się całym ciałem o Riley'a. Przez długą chwilę w holu panowało głucho milczenie. Potem Riley odchrząknął i powiedział ponuro:

- Każdy człowiek ma prawo być wielkim głupcem.

- Nie mogę już tego słuchać - warknęła.

Riley zrobił taką minę, jakby go uderzyła.

- Och, dajmy spokój - powiedziała bezradnie. To nie jego wina, że od dwóch dni nie może wyrzucić tych słów z pamięci. - I co my teraz zrobimy?

- Może pójdziemy otworzyć resztę prezentów?

Nie mogła nawet zdobyć się na odpowiedź. Spojrzała tylko na niego.

- Przepraszam - powiedział. - Chyba powinniśmy powstrzymać Prestona od poprawiania ksiąg finansowych.

- Jak? Podpalając Lassiter House?

- Czy ona naprawdę go sprzedała? - spytał William.

- Pewnie tak. Co to ma za znaczenie? - Debora potrząsnęła głową, usiłując rozjaśnić nieco myśli, i nagle uświadomiła sobie, że Bristol patrzy na nią. Zebrała siły i odsunęła się łagodnie od Riley'a.

- Moglibyśmy wszyscy tam pojechać - zaproponował William.

- To się na nic nie zda - stwierdziła. - Chyba już nic nie pomoże. Musimy porozmawiać jutro z Fredem Milliganem, i to wszystko. Gdy razem spróbujemy, będzie musiał nas wysłuchać. Dzięki za to, co zrobiłeś, Bristol.

Bristol sztywno kiwnął głową.

- Zbyt wiele rzeczy mnie rozpraszało. Następnym razem...

- Obawiam się, że nie będzie następnego razu - zauważył Riley.

- Dostyc tego. Tatusiu, proszę.

William poruszył się.

- Chyba powinniśmy się stąd wynieść.

- Oczywiście. - Bristol zrobił dwa kroki i stanął, odwracając się do Debory ze zmarszczonym czołem.

- Nie rozumiem cię, Deboro - powiedział. - Zaręczyłaś się z tym człowiekiem... Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że wasze dzieci będą równocześnie swoimi własnymi kuzynami w czwartej linii? Ryzyko, jakie podejmujesz...

- Jest minimalne, więc niech ci to nie mać snu, Bristol - przerwał Riley.

- Porozmawiasz z nią o tym jutro. - William pociągnął Bristola za sobą.

Debora podniosła dłoń do czoła. Miała wrażenie, że jej głowa zaraz rozpadnie się na kawałki.

- On serio potraktował nasze zaręczyny - wyjąkała.

- Jasne. Mówiłem ci, zanim go poznałem, że ten facet nie ma za grosz poczucia humoru. To co, kochanie? Czy zajmiemy się resztą prezentów, czy

chcesz koniecznie teraz odbyć naszą wielką, ostateczną kłótnię i skończyć z całą sprawą?

- Prezenty - powiedziała bezradnie. - Nie zostało mi dość energii na prawdziwą kłótnię.

Uśmiechnął się do niej, a oczy mu rozbłyły.

- Moja dzielna dziewczyna!

Chciałabym nią być, pomyślała Debora.

Wtorkowy ranek był pochmurny, ale Debora i tak obudziła się wcześnie, zmęczona po ciężkiej nocy. O ile wiedziała, Ida i Preston Powell wciąż siedzieli zamknięci w gabinecie. Tam właśnie byli, gdy Riley dobrze po północy odwiózł ją do Lassiter House.

W końcu włożyła szorty i bluzkę i boso zeszła na dół, żeby zaparzyć sobie kawy. Nie zdziwił jej widok ojca i Bristola siedzących w jadalni i w ponurym milczeniu przeglądających poranne gazety. William, wciąż nie ogolony, miał na sobie ulubiony stary szlafrok. Bristol natomiast był ubrany bez zarzutu w ciemny garnitur, białą koszulę i czerwony krawat, jakby właśnie wyruszał na ważne zebranie. Debora usiadła obok z kubkiem kawy i omal nie zachłysnęła się intensywnym zapachem wody po goleniu, jaki unosił się w powietrzu.

- Czy ciotka Ida schodziła już na dół? - spytała w końcu.

William potrząsnął głową, nie podnosząc jej znad gazety.

- Powella też nie widziałem.

- Trzeba przyznać temu facetowi, że ciężko pracuje na swoją karierę - mruknęła Debora.

Bristol tylko na nią popatrzył.

Riley miał rację, pomyślała. On nie ma ani krztyny poczucia humoru. Jak mogłam myśleć, że chciałabym żyć z takim sztywniakiem? I tatuś też miał rację. Chodziło mi o bezpieczeństwo, więc wybrałam Bristola. Teraz, kiedy rany po Morganie już się zagoiły, widzę,

że on byłby tak samo zły. A więc, pomyślała z ironią, zdecydowałam, że chcę Riley'a. Jesteś idiotką, Deboro Ainsley.

Riley przyszedł z kuchni, trzymając w ręku filiżankę. Szedł sprężysto, w dżinsowych szortach, adidasach i koszulce polo. Wyglądał na wyspanego.

- Kiedy ma przyjechać Fred Milligan? - spytał.

Odpowiedziała mu Ida, stając w drzwiach prowadzących z głównego holu.

- Będzie tu na obiedzie. Mam nadzieję, że na niego poczekać. - W jej głosie słychać było ironię, gdy przyglądała się czworgu nieproszonym gościom.

- A Preston przesyła wyrazy żalu.

- Żalu? - spytała Debora, nie rozumiejąc. - Czy to znaczy, że wyjechał?

- Tak. Opuścił Lassiter House późno w nocy.

- Wyrzuciłaś go? - spytał William. - Ido, moje gratulacje.

Spojrzała na niego zimno.

- Nie wyrzuciłam go, Williamie. Sam postanowił wyjechać.

- No jasne - stwierdziła Debora. - I pewnie teraz zbiera forszę, żeby uciec przed przybyciem Freda Milligana. - Oparła łokcie na stole i wpatrywała się ponuro w kubek.

- Jestem pewna, że uniknie spotkania z Fredem

- potwierdziła Ida. - Ale nie zabierze z sobą żadnych pieniędzy, poza poświadczonym czekiem, który mu dałam. Wykupiłam wszystkie jego udziały w Paradise Valley. Jest teraz moją własnością - w całości.

- Spojrzała na nich z pełnym dumy uśmiechem.

William położył głowę na gazecie. Debora i Riley jęknęli zgodnie. Bristol wyglądał na zaintrygowanego.

- To był bardzo mały poświadczony czek. Tyle, by Preston mógł wyjechać z miasta, a transfer udziałów był legalny. I nie martwcie się, że coś przede mną

ukrył. Pilnowałam go bardzo dokładnie, razem z moim bankierem, Fredem Milliganem, i kilkoma innymi osobami, które miały swoje powody, by chcieć przytrzeć nosa Prestonowi Powellowi. W gruncie rzeczy sądziłam, że będziecie zadowoleni. Teraz odzyskaliśmy Paradise Valley z rąk tych szalbierców, którzy trzymali teren przez dziesięć lat, i możemy coś z nim zrobić. Kupiłam go za bezcen. Preston był szczęśliwy, że mógł przepisać Paradise Valley na mnie i wynieść się z miasta przed przyjazdem ludzi z wydziału oszustw. W jadalni zapadła absolutna cisza.

- Więc wiedziałaś, że on jest oszustem? - spytał w końcu Riley.

Ida pociągnęła nosem.

- Chyba powinnam być zadowolona, że tak dobrze odegrałam swoją rolę. Ale nie uważam tego za specjalnie pochlebne z waszej strony, że uznaliście mnie za sklerotyczkę, niezdolną do przejrzenia tak oczywistego oszustwa. Szczególnie ty, Deboro. - Potrząsnęła dumnie głową. - Pomyśleć, że z braku zaufania posunęłaś się tak daleko, by chronić pieniądze Lassiterów!

- Tak daleko? - powtórzyła Debora słabym głosem.

- Tak, kochanie - powiedziała łagodnie Ida.

- Chodzi mi o te twoje rzekome zaręczyny z Rileyem.

Debora spojrzała podejrzliwie na ojca, ale William robił wrażenie całkowicie zaskoczonego. Dostrzegła w oczach Rileya jakieś światełko - ale nie światełko winy, a uznania.

- Wyprowadziła nas w pole, Deb - powiedział.

- Ciociu Ido, wiedziałaś i ukryłaś to przed nami?!

- To niemożliwe, pomyślała. Ale w jakiś zwariowany sposób wszystko się zgadza.

- Nieładnie z mojej strony, prawda? Początkowo się nie zorientowałam. Mogę wam powiedzieć, że

tego pierwszego popołudnia, gdy oznajmiliście swoją nowinę, w ogóle nie mogłam skupić się na brydżu. Przegrałam wszystkie robry. Ale wieczorem, w restauracji, zrozumiałam. Graliście oboje bardzo przekonująco, ale tylko takie wyjaśnienie miało sens. Ty i Riley... - Potrząsnęła głową. - To bzdura myśleć, że możecie być serio sobą zajęci.

No tak, pomyślała Debora smutno. To bzdura. Jeśli masz resztkę zdrowego rozsądku, Deboro, to sobie to zapamiętasz.

- Nie mogłam was dopuścić do sekretu - kontynuowała ciotka. - Bardzo skutecznie odwracaliście uwagę Prestona od moich działań. Ale nie mogłam się oprzeć, żeby wam trochę nie podokuczać.

- I zaczęłaś robić te wszystkie plany ślubne - westchnęła Debora.

Ida wyglądała na nieco zażenowaną.

- Chciałam zobaczyć, jak daleko jesteście skłonni się posunąć. Podchodziłam do was trochę tak, jak do Prestona Powella.

- No, nieźle - mruknął Riley.

Ida uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Jedno oszustwo warte drugiego - powiedziała niemal przepraszająco. - Wy aż prosiliście się o to.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Riley wybuchnął nagle głośnym śmiechem.

- Ido, jesteś niezrównana - stwierdził. - Ale powiedz mi, proszę, co masz zamiar zrobić z tym rozpadającym się kurortem? Zbudowanie hoteli i nartostrad wciąż będzie kosztować fortunę.

- Starzy ludzie, tacy jak ja, nie potrzebują hoteli i nartostrad - odrzekła spokojnie. - Chcą solidnych, przyjemnych, łatwych do utrzymania domów. Chcą urządzeń komunalnych, takich jak klub, basen, sala do gry w bingo i tym podobne. Chcą...

- Zrobisz z tego osiedle złotego wieku?

- Nie martw się, Riley - powiedziała oschle. - Wszystko będzie dobrze. Przeprowadziłam rozeznanie.

- Nie wątpię w to ani trochę. - Pokręcił głową z uznaniem.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to jest już niewielka lista oczekujących na mieszkania i domki, które zbudujemy zamiast tych planowanych przez Prestona pałaców.

- My - to znaczy ty i Fred Milligan? - zastanowiła się Debora.

- I sporo innych inwestorów. Każdy, kto zechce sprzedać swoje śliczne certyfikaty, które dostał od Prestona, może to zrobić bez trudu. Osobiście uważam, że zarobi więcej, zatrzymując je, ale z drugiej strony...

- ...inwestowanie kapitału jest ryzykowne - Debora wyrecytowała razem z Idą. - Powiedz mi jedno, ciociu. Jeżeli Fred Milligan tkwi w tej sprawie po uszy, dlaczego był taki podejrzliwy, gdy do niego zadzwoniłam?

Ida spojrzała na nią jak na głupawe dziecko.

- Oczywiście, że był podejrzliwy - powiedziała.

- Siedział w Springfield i obgryzał paznokcie ze zdenerwowania, podczas gdy ja organizowałam wszystko tutaj. A wtedy ty nagle dzwoniś i mówisz mi „ciocia Ida się wygłupia”, czy coś w tym rodzaju. On przecież nie wiedział, po czyjej jesteś stronie!

- Cieszę się, że ktoś z twojej paczki choć przez chwilę poczuł się niewyraźnie - mruknęła Debora z przekąsem.

Bristol chrząknął.

- Ponieważ cała ta sprawa najwyraźniej mnie nie dotyczy, wracam do Chicago. Czy mam na ciebie poczekać, Williamie? - spytał, rzucając mordercze spojrzenie na mało wytworny szlafrok.

- Chyba nie muszę już zostawać, żeby porozmawiać z pastorem - powiedział William pytająco.

- Nie *musisz* - oświadczyła Debora chłodno.

- No, to jeśli nie potrzebujecie mojego towarzystwa...

Złitowała się nad nim. Najwyraźniej szukał jakiejś wymówki.

- Nie przejmuj się tatusiem, Bristol. Ja też wracam dzisiaj do Chicago. - Przygryzła wargę i dodała:

- Przykro mi, że przeze mnie przerwałeś swoje seminarium.

Kiwnął głową, spokojnie przyjmując przeprosiny.

- Będą inne seminaria. Ta historia była bardzo interesująca. - Ukłonił się Idzie i wyszedł.

No proszę! - pomyślała Debora. Wszystko mu jedno, czy jestem zaręczona, czy nie!

- A wy? - zapytała Ida, gdy tylko Bristol zniknął za drzwiami. - Czy zostaniecie na obiedzie, żeby poznać Freda Milligana?

- Chyba nie, ciociu - zdecydowała Debora. - Pajesz nad sytuacją.

William poszedł się ubrać, a Ida mruknęła, że musi

wziąć się do roboty, bo przez kilka ostatnich dni zmarnowała zbyt wiele czasu. Oddaliła się do kuchni.

Debora nie patrzyła na Riley'a. Bawiła się kubkiem.

- Powinam chyba pójść się spakować - powiedziała w końcu.

Czuła, że się jej przygląda. Siedział bokiem na krześle, a jego długie nogi zagradzały drogę do drzwi. Przez chwilę sądziła, że się nie odezwie, ale w końcu powiedział bardzo cicho:

- Debora...

Usiłowała zsunąć pierścionek Darlene Lassiter. Nie chciał zejść. Zacisnęła zęby i obracała na palcu cienką obrączkę, aż ześlizgnęła się, pozostawiając po sobie zaczerwioną, otartą skórę. Przez chwilę Debora patrzyła na pierścionek, po czym położyła go na dłoni Riley'a.

- Dzięki za pożyczkę - powiedziała. - Chyba go nie uszkodziłam. - Jej głos zabrzmiał smutno, więc spróbowała pokryć to śmiechem. - I w końcu nie udało nam się odbyć tej wielkiej, głośnej kłótni.

Uśmiechnął się słabo. Zauważyła, że drgnęły mu kąćki ust.

- Tak jest chyba lepiej, nie sądzisz?

- Chyba tak. Możesz teraz wszystkim powiedzieć, że pokłóciliśmy się przez telefon, czy coś w tym rodzaju. To nie ma znaczenia. - Przygryzła wargę i spojrzała na swoją dłoń już bez pierścionka, czekając, aż Riley odejdzie.

Ale nie odszedł. Zamiast tego przesunął rękę z oparcia krzesła na jej kark i delikatnie ją do siebie przyciągnął. Gdy zorientowała się w jego zamiarach, było już za późno: nie mogła ani wstać, ani odchylić się, ani nawet odwrócić głowy. Mogła tylko unieść dłoń i oprzeć ją o jego pierś tam, gdzie biło serce.

- Proszę cię - szepnęła, a Riley od razu ją puścił.

Natychmiast pożałowała, że go powstrzymała.

Przecież nie byłoby nic złego w pocałunku na pożegnanie. Mogła mieć jeszcze jedno ciepłe wspomnienie. Ale tak było bezpieczniej, bo pewnie nie pocałowałby jej jak mężczyzna, ale jak kuzyn...

W milczeniu odprowadziła go do drzwi. Na tarasie, w ostrym słońcu, które rozproszyło poranną mgiełkę, powiedział:

- Do zobaczenia, mała.
- Jasne - odrzekła, starając się, żeby jej głos zabrzmiał bez troski. - Zadzwoń do mnie, gdy będziesz w Chicago.
- Zrobię to. - Poglądził pieszczotliwie jej policzek i odszedł.

Śródmieście Chicago - szaleńcze przepychanie się ludzi na chodnikach, ciągły hałas samochodów pędzących po North Michigan Avenue, odległe wycie syren goniących gdzieś wozów. Nie tak dawno temu miejski gwar był niezbędny Deborze do życia. Teraz tłumy przechodniów przyprawiały ją o klaustrofobię, spaliny samochodów i autobusów dusiły, a syreny wywoływały ból głowy.

Galeria Ainsley była cicha i spokojna, oaza dla miłośnika sztuki, choć już nie dla jej właścicielki. Debora przyznawała jednak uczciwie, że to nie miasto i nie galeria zmieniły się, a ona sama. I wiedziała, że gdyby nie jedna, drobna rzecz, znów byłaby tu szczęśliwa.

Gdy dyskretny dzwonek odezwał się przy drzwiach, oderwała wzrok od leżącego na biurku kalendarza. Od powrotu z Summerset minęły zaledwie trzy tygodnie, a nie sześć miesięcy, jak jej się wydawało. Spojrzała na przybysza i uśmiechnęła się słabo.

- Cześć, tatusiu - powiedziała. - Najlepsze życzenia urodzinowe.

William Ainsley wyprostował się, odrywając spo-

jrzenie od pastelu przedstawiającego żaglówkę na jeziorze Michigan.

- Nie przypominaj mi - powiedział zrzędliwie, ale z kpiarskim uśmiechem. Wskazał na obrazek. - Po wiedz mi coś o tym malarzu.

Debora rzuciła okiem i zastanowiła się.

- Nie mogę - powiedziała, nieco zaskoczona.

- Nigdy tego przedtem nie widziałam.

Peggy wyłoniła się właśnie z magazynu na zapleczu, targając duże płaskie pudło.

- Wiesz, Deboro - zaczęła z wahaniem w głosie

- przyjechałam to w komis, gdy ciebie nie było, i...

Debora spojrzała na nią z namysłem.

- Papiery są na twoim biurku - dopowiedziała Peggy.

- Jest bardzo piękny - stwierdziła Debora. Dobrze, że ktoś zajmuje się galerią, pomyślała. Ostatnio nie przykładalam się do pracy.

Twarz Peggy rozjaśniła się.

- To pudło właśnie przysłano dla ciebie z Summer set.

Z Summerset. Na moment Debora niemal uniosła się w powietrze z radości, by po chwili spaść z hukiem na ziemię. Czego się spodziewam? - spytała siebie cynicznie. Biskoptu z bitą śmietaną i malinami, prosto od Riley'a?

Pudło było od Ruth Chastain. Debora zaniósła je do biura i otworzyła z pewnym niepokojem. Trzy tygodnie to niezbyt długo, żeby aż tyle namalować, i jeśli rysunki nie okażą się dobre...

- Czy przyjmiesz ode mnie czek? - spytał William, wchodząc za nią do biura.

- Najpierw sprawdzę, czy jesteś wypłacalny - zażartowała. Spojrzała przez ramię na Peggy, która zdejmowała pastel ze ściany. - Kupiłeś tę żaglówkę? Tatusiu, jesteś niepoprawny.

- Prezent urodzinowy dla siebie samego. - Wzruszył ramionami. - Co tam masz? - Przyjrzał się leżącemu z wierzchu obrazkowi, na którym mały chłopiec biegł w dół ulicy z psem, i gwizdnął z podziwem. - To wspaniałe. Masz tu chyba dosyć na wystawę, prawda?

- Tak - powiedziała Debora z namysłem. - Będę musiała wkrótce poważnie o tym porozmawiać z Ruth. Cieszę się, że ci się podoba. Jeden z jej obrazków odłożyłam dla ciebie jako prezent urodzinowy. Może dasz się zaprosić dziś na obiad, żebym mogła ci go wręczyć?

- Och... - Jego głos brzmiał nieswojo. - Przykro mi, kochanie, ale mam inne plany. Idziemy do Instytutu Sztuki obejrzeć nową wystawę architektoniczną. Gdybyś chciała się przyłączyć, jestem pewien, że Peggy nie miałaby nic przeciwko temu.

Peggy? To powinno być zaskoczeniem, ale jakoś nie było. William ostatnio częściej wpadał do galerii. I rzeczywiście, zgadzali się z Peggy.

- Czuję się samotny - przyznał cicho. - Deboro, nie chcę, żeby zajęła miejsce twojej mamy, ale...

- Mama by chciała - uśmiechnęła się. - Jeszcze by cię zachęcała.

William zaczerwienił się.

- Przepraszam, że nie pomyślałem o tobie, ale przypuszczałem... Tylko że ty już chyba nie spotykasz się tak często z Bristolem, prawda?

- W ogóle się z nim nie spotykam - stwierdziła oschle. - Gdy zrozumiał, że wplątałam się w całkowicie udawane zaręczyny, uznał, że jestem lekkomyślna, a może nawet głupia, a może przypuszcza, że jestem awanturnicą najgorszego gatunku... Nie wiem, co pomyślał, ale najwyraźniej podjął decyzję. Przyznaję, że nie przekonywałam go zbyt gorąco.

- Cieszę się - powiedział William. - On nigdy nie był dla ciebie.

- Ciekawe, dlaczego ja tego nie dostrzegałam - mruknęła Debora.

Ale wiedziała, dlaczego, i jeszcze długo po wyjściu ojca o tym rozmyślała.

Chcę wiedzieć, dokąd idę, stwierdziła, ale nie za cenę stosowania sztywnych reguł. Chcę pewnego komfortu materialnego, ale nie za cenę spokoju ducha. Chcę stabilizacji, ale nie za cenę traktowania świata śmiertelnie poważnie.

Po prostu chcę Rileyę, przyznała. A to, że nie mogę go mieć, boli tak bardzo, jak nic dotychczas.

I wcale nie było lepiej - jej pragnienie nie zmalało przez trzy tygodnie. I trzy lata też nic nie zmienia, pomyślała. Więc lepiej weź się do pracy. Masz mnóstwo roboty.

Wzięła w rękę akwarelę, przedstawiającą chłopca z psem. William ma rację - gdy wszystkie obrazki będą oprawione, zorganizuje wystawę i przedstawi Ruth Chastain publiczności. Problem nie będzie polegał na przekonaniu Ruth do pracy, ale na właściwej reklamie i nakłonieniu jej do udziału w różnych imprezach promocyjnych. Debora mogła z góry przewidzieć jej odpowiedź, gdyby zadzwoniła i poprosiła o przyjazd do Chicago na wernisaż. Na pewno znalazłaby mnóstwo wykrętów. Znacznie łatwiej będzie ją przekonać w osobistej rozmowie.

Ale to może zrobić jedynie jadąc do Summerset, co z kolei oznacza spotkanie z Rileyem.

Tylko że to spotkanie i tak jest nieuniknione. Prędzej czy później Riley przyjedzie do Chicago i zadzwoni do niej, albo, co gorsza, po prostu wpadnie nie zapowiedziany do galerii. Jak to między kuzynami.

A wtedy, powiedziała sobie, będziesz musiała być uprzejma i przyjacielska, bez okazji przeciwienia powitalnego uśmiechu. Czy nie lepiej odbyć to

spotkanie na twoich warunkach? Po pierwszym razie będzie łatwiej.

Przez dłuższą chwilę siedziała przy biurku i rozmyślała. Potem wepchnęła wszystkie papiery do szuflady, wróciła do mieszkania, by spakować torbę, i wyruszyła do Summerset.

W czasie długiej podróży chciała zawrócić kilkanaście razy. Nawet przed wejściem do restauracji o mało nie wyrwała kluczyków z ręki parkingowego.

Nie bądź śmieszna, skarciła się. Przyjechałaś, żeby zobaczyć się z Ruth. Każdy... Wszystko inne jest drugorzędne.

Wyprostowała się i przekroczyła próg. Blond hostessy nie było widać, a w foyer stał sam Riley, przyglądając się uważnie obrazkowi na ścianie. Odwrócił się z profesjonalnym, powitalnym uśmiechem na ustach, ale zamarł na jej widok.

- Cóż za niespodzianka! - Po chwili zdołał już dojść do siebie.

I niezbyt przyjemna, dopowiedziała Debora w myśli.

- Przyjechałam w sprawach zawodowych - oświadczyła lekko schrypniętym głosem. - Nic wspólnego z tobą - dodała zbyt pośpiesznie.

- Nie, oczywiście, że nie. - Jego ton był lodowaty.

- Przepraszam, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Właściwie przyszedłam coś zjeść.

Przez chwilę wydawało jej się, że Riley wyrzuci ją za drzwi. Sięgnął jednak po oprawne w skórę menu i spytał spokojnie:

- Czy będziesz sama?

Chyba że do mnie dołączysz... O mało nie wypowiedziała tego na głos. Rozsądek jednak powrócił.

- Tak, będę sama. Chciałabym, jeśli to możliwe, żeby obsługiwała mnie Ruth.

Szedł już do jadalni, ale zatrzymał się raptownie w drzwiach. Debora, która na chwilę zamknęła oczy, by nie pozwolić popłynąć łzom, wpadła na niego i dla zachowania równowagi złapała za ramię. Jego zapach, świeży i męski, podziałał na jej zmysły tak, że zacisnęła zęby w nagłym bólu.

- Nie ma jej dzisiaj - powiedział Riley. - Wzięła tydzień urlopu, by pomalować dom.

- Dom?

- Powiedziała, że maluje, więc sądziłem... Ale jeśli przyjechałaś zobaczyć się z nią w sprawach zawodowych, to chyba znaczy, że jednak nie odnawia jadalni.

- Mam nadzieję - usiłowała się roześmiać.

Utkwił wzrok w jej twarzy. Debora odsunęła się pospiesznie.

- To chyba jednak nie wejść.

- Jak sobie życzysz. - Odłożył menu. Jego głos **był** uprzejmy i chłodny.

Odwróciła się i ruszyła w dół lekko pochyłej rampy, w stronę wyjścia. Obejrzała się, gdy doszła do drzwi, przeklinając równocześnie własną głupotę - jeśli patrzy za nią, to tylko po to, żeby upewnić się o jej odejściu. Ale już go nie było widać.

Rzuciła spojrzenie na drzwi, potem na ciemną klatkę schodową, i zanim zdążyła pomyśleć, znalazła się na platformie przed drzwiami mieszkania Riley'a, niemal bez tchu, mając nadzieję, że echo jej kroków na schodach nie rozlega się w całym budynku.

Na dole masywne drzwi zamknęły się z trzaskiem. Jeśli ktoś spojrzy w górę, może mnie dostrzec, pomyślała. Nacisnęła klamkę i wsunęła się do jego mieszkania z uczuciem ulgi, która trwała jakieś trzy sekundy.

Wiedziała, oczywiście, co ją tu sprowadziło. Riley był zajęty w restauracji, więc mogła na chwilę wślizgnąć się do jego domu, po raz ostatni. Mogła czuć tu jego

obecność i rozkoszować się spokojną atmosferą. I może uda jej się pozbyć wspomnień.

Mieszkanie było ciche, ale nie odnalazła spokoju. Uczucia, których chciała się pozbyć, wciąż tu były, jakby uwięzione w tym pokoju, lecz jeszcze silniejsze: wspomnienie jego silnych ramion, delikatności pierwszego pocałunku, jej pragnienia, obudzonego tu tej ostatniej nocy...

Dźwięk otwieranych drzwi przykuł ją do podłogi. Zamarła w cieniu, nastawiając się na ostre światło, na pytania i oskarżenia.

Ale nadal panowała ciemność. Drzwi się zamknęły, a Riley przeszedł przez pokój pewnie i bez wahania, jakby znał na pamięć każdy kawałek podłogi. Fotel jęknął pod jego ciężarem.

Debra zdusiła histeryczny chichot. Sytuacja jak -Z filmu *o Flipie i Flapie, pomyślała nerwowo. Co* ^{mar}h teraz zrobić? Poczłgać się do drzwi?

- Chciałbym wiedzieć, o co ci chodzi - powiedział tak cicho, jakby mówił do siebie. Przez moment nie ruszała się. Riley wyciągnął rękę i zapalił stojącą obok lampkę.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Pięknie wyglądasz na tle okien.

Starła się zachować resztki godności.

- Nie powinnam, nie proszona, tu przychodzić. Przepraszam cię, Riley.

- Po co tu przyszłaś? - Mówił tak szorstko, że Debra aż się skuliła, nie rozumiejąc tego gniewu.

- Riley, proszę... - szepnęła.

- Gdy weszłaś do foyer, pomyślałem... - Przerwał i wstał z fotela. Podeszedł do okna. - Po kiego diabła tu brzyszaś? - spytał ostro. - Ruth ma telefon. Wiesz, gdzie mieszka. Jeśli tak mnie nienawidzisz, to co tu robisz?

- Nienawidzę? Wcale cię nie nienawidzę!

- Wyglądałaś, jakbyś się spodziewała, że zaciągnę cię do kuchni i będę na tobie ostrzył noże! Strasznie się śpieszyłaś, żeby wyjść z restauracji, a jednak znajduję cię tutaj. Po co tu przyszłaś? Nie boisz się, że coś ci mogę zrobić?

- Oczywiście, że nie. - Pokręciła głową. - Nie jesteś gwałtownym człowiekiem, Riley. Skąd wiedziałaś, że tu jestem? Wiedziałaś, bo inaczej nie przyszedłbyś na górę.

- Parkingowy powiedział mi, że nie wyszłaś.

Jednak poszedł za mną, pomyślała.

- Więc mogłaś wejść tylko tutaj. Czy to cię tak przeraża, ta myśl, że pogoniłbym za tobą?

- Nie - szepnęła. - Ale dlaczego zmieniłaś zdanie?

- Bo nie mogłem ci pozwolić tak odejść. Takiej przestraszonej.

Coś w niej zadrzało, nikła nadzieja, tak słaba, że bała się poruszyć, bała się głębiej odetchnąć.

- Co znaczyło... - Nie mogła rozpoznać własnego głosu. - Riley, co sobie pomyślałaś, kiedy weszłam?

Przez chwilę wydawało się, że nie odpowie. Wyglądał przez okno, opierając dłoń o szybę.

- Pomyślałem, że może chcesz się ze mną zobaczyć - powiedział ledwo dosłyszalnie. - Że... może... zatęskniłaś za mną.

Serce biło jej tak mocno, że nie mogła złapać tchu.

- Przyszłam, bo jest tu coś, czego chcę. - Spróbowała uspokoić swój głos. - Ty.

- To wcale nie jest śmieszne, Deboro. - Zmarszczył czoło.

- Też nie uważam tego za śmieszne. - Przesunęła się ostrożnie za kanapę. Kolana drżały jej tak mocno, że musiała się o coś oprzeć. - Nasz żart obrócił się przeciw żartownisiom. Dałam się złapać. Zakochałam się.

Dostrzegła, że coś rozbłysło w jego oczach, coś, co

wyglądało na strach i wywołało w niej zimny dreszcz. Czyżbym posunęła się za daleko? - pomyślała. Może nie powinnam była jeszcze mówić, że go kocham.

Nie, stwierdziła w duchu. Teraz jest czas na prawdę. Bez względu na to, jak jest bolesna. Po prostu muszę wiedzieć. A jeśli odpowiedź będzie najgorsza z możliwych, to będę się musiała nauczyć z tym żyć. Ale przynajmniej będę wiedziała.

- Kocham cię - powiedziała cicho. - Przykro mi, jeśli nie chcesz tego słuchać, ale to prawda. I muszę wiedzieć, czy w twoim życiu jest dla mnie miejsce. Nie wiem co mi chciałeś na dole powiedzieć...

- Nie wiesz? - Jego głos drżał.

- ...ale jeśli też za mną tęskniłeś i jeśli mnie chcesz, to zostanę.

- Tak. Tak. - Był już przy niej.

Słowa odbiły się echem w cichym pokoju. Debora poniyślała, że brzmią jak przysięga. Tak bardzo chciała, by właśnie to znaczyły, że powiedziała szybko i niepewnie:

- To nie musi być na stałe, Riley.

- Musi, bardzo na stałe - powiedział twardo, tak jak twarde były opasujące ją ramiona. - Tylko ty i ja, Deb-

Odetchnęła głęboko, a jego usta odszukały jej wargi z głodnym pośpiechem. Przytuliła się do niego całym ciałem, próbując przekazać mu, jak bardzo się cieszy.

- Wyjdiesz za mnie - wyszeptał z ustami przy jej ustach.

-^ Powiedziałeś, że nie ożenisz się ze mną za żadne pieniądze - przypomniała mu. Uśmiechnął się.

- Zmieniłem zdanie - powiedział łagodnie i znowu zaczął ją całować, tym razem skupiając się na delikatnej skórze jej skroni.

To proste stwierdzenie wstrząsnęło nią. Przypomniała sobie, że wtedy, gdy to powiedział, fundusz powierniczy wyglądał na stracony. A teraz, gdy pieniądze były bezpieczne - czy to robiło różnicę? Czy dlatego chciał stałego układu, gwarantowanego przez małżeństwo?

Riley usiadł na kanapie i pociągnął ją na swoje kolana.

- Debbie, głuptasku! - oznajmił stanowczo. - Powiedziałem, że nie ma na świecie takich pieniędzy, dla których bym się z tobą ożenił.

- Czy to nie to samo? - spytała niepewnie.

- Ani trochę. - Złapał błyszczący, brązowy lok i zaczął go powoli nawijać na palec, przyciągając jej głowę. - Ile masz pieniędzy w kieszeni?

- Co cię to obchodzi? Chyba jakieś dziesięć dolarów. Podniósł brwi.

- To czysta ciekawość, ale jak miałaś zamiar zapłacić za kolację?

- Mam kartę kredytową - powiedziała zdecydowanie. - Wyjechałam z domu w pośpiechu... - Przerwała.

- Rozumiem - uśmiechnął się.

Pomyślała niechętnie, że nagle rozumie stanowczo za wiele. Na przykład to, że bez względu na kierujące nim motywy, jest zbyt zakochana, żeby się tym przejmować.

- W każdym razie - mówił wesoło - dziesięć dolarów wystarczy. Ożenię się z tobą dla tych pieniędzy. A gdybyś miała tylko dwa centy, to też by wystarczyło.

- Aha - odparła cicho. - Chodzi ci o to, że nie żenisz się ze mną ...

- ...dla żadnych pieniędzy. Bo pieniądze nie mają tu nic do rzeczy. A teraz, czy wyjdiesz za mnie? A może masz jakieś uprzedzenia do stanu małżeńskiego, które powinienem najpierw przełamać?

Nie mogła wydobyć z siebie słowa, bo całował ją z żarem i pasją. Poza tym chyba i tak wiedział, co by mu odpowiedziała.

Minęło trochę czasu, zanim odzyskała zdolność mowy. Siedziała koło niego, opierając głowę o jego ramię. Bawił się jej włosami, jakby musiał jej dotykać, by upewnić się, że jest tu rzeczywiście.

- A gdybym nie wróciła? - spytała w końcu.

- Nie jestem taki głupi, by siedzieć tu i czekać na pogrzeb Idy - zakładając, że jednak nie jest wieczna - w nadziei, że wtedy się tu pokażesz. Jeśli zerkniesz do kalendarza w moim biurze, zobaczysz, że cały przyszły tydzień zamierzałem spędzić w Chicago. Miałem nadzieję, że zdążyłaś za mną zatęsknić i planowałem przeprowadzić formalne obłężenie.

- Oj, tęskniłam - westchnęła Debora. - Pewnie na sam twój widok rzuciłabym ci się w ramiona.

- Hm. Może szkoda, że na mnie nie zaczekałaś. Łatwiej by się wszystko wyjaśniło. - Uśmiechnął się do niej tak, że serce zabiło mocniej.

- Kiedy się zorientowałaś? - spytała cicho.

- Że znowu staniesz się zmorą mego życia?

Zmarszczyła nos.

- Przepraszam - powiedział szybko. - Kiedy się w tobie zakochałem? Chyba od razu przy śniadaniu, pierwszego dnia. W każdym razie wieczorem przy kolacji nie było już dla mnie ratunku. Na samą myśl o Bristolu Wellingtonie Piątym bolały mnie zęby. A kiedy wymyśliłaś ten plan z zaręczynami...

- To nie był najbardziej błyskotliwy z moich pomysłów.

- No, nie wiem. W tamtej chwili całe życie mignęło mi przed oczyma.

- Powiedziałeś, że nie chcesz żadnej narzeczonej.

Uśmiechnął się do niej z miłością i pocałował w czubek nosa.

- W każdym razie nie udawanej.
- Więc gdy mówiłeś, że śnię ci się w ślubnej sukni i welonie i tak dalej...
- Nie mówiłem nic o sukni. To był tylko welon - i nic poza tym.

Debora zadrżała z przejęcia.

- Mówiąc o sukniach ślubnych... Chyba powinniśmy zadzwonić do ciotki Idy. Pewnie już jej doniesiono, że jestem w mieście.

- Czy to znaczy, że nie zatrzymałaś się u niej?
 - Nie umawiałam się z nią - powiedziała ostrożnie.
- Twarz Riley'a powoli rozjaśnił uśmiech.
- Aha. No to nie zwracajmy jej dzisiaj głowy. Znowu zaczęłyby planować ślub. - Ugryzł ją lekko w ucho.
 - Moglibyśmy uciec - szepnęła bez tchu.

- Nie... Lepiej sami wydamy przyjęcie, bo inaczej Mary Beth znowu zrobi nam niespodziankę, a tego bym już chyba nie zniósł. - Ujął jej dłoń. - Tak mi przykro, kochanie, ale nie mam dla ciebie pierścionka. Miałem zamiar kupić go w Chicago. Tylko masochista kupuje pierścionek zaręczynowy w mieście wielkości Summerset, nie będąc pewnym odpowiedzi.

- Nowy? Wolałabym dostać z powrotem pierścionek twojej babki.

- Jesteś pewna? - zdziwił się. - Jest taki malutki.
- Jestem pewna.
- Dobrze. Jutro każę go dopasować, a na razie możesz na niego popatrzeć. - Wyjął z kieszeni stare aksamitne pudełeczko.
- Noś je przy sobie?
- Wydawało mi się, że w ten sposób jesteś bliżej mnie - odparł niepewnym głosem.

Przytuliła się do niego, wyjęła pierścionek z pudełeczka i odwróciła do światła. Kamień wydawał się

jaśniejszy, bardziej błyszczący niż dawniej. Jakby też był szczęśliwy.

Światło padło na wygrawerowane litery wewnątrz obrączki. Przechyliła pierścioneł, żeby lepiej widzieć i o mało go nie upuściła.

- Riley, tam są nasze inicjały!
- Nigdy mu się przedtem nie przyglądałaś?
- Nie mogłam go zdjąć, pamiętasz? Spójrz: D.A. i R.L.
- Ona nazywała się Darlene Anderson, a on Roger Lassiter.
- Jest doskonały - szepnęła. - Tam jest też wygrawerowane: „Na zawsze”.
- Zapamiętaj to - powiedział przytulając ją mocniej.
- Dla nas to też jest na zawsze, Debbie, kochanie. Skończyliśmy z rozwiązaniami doraźnymi.